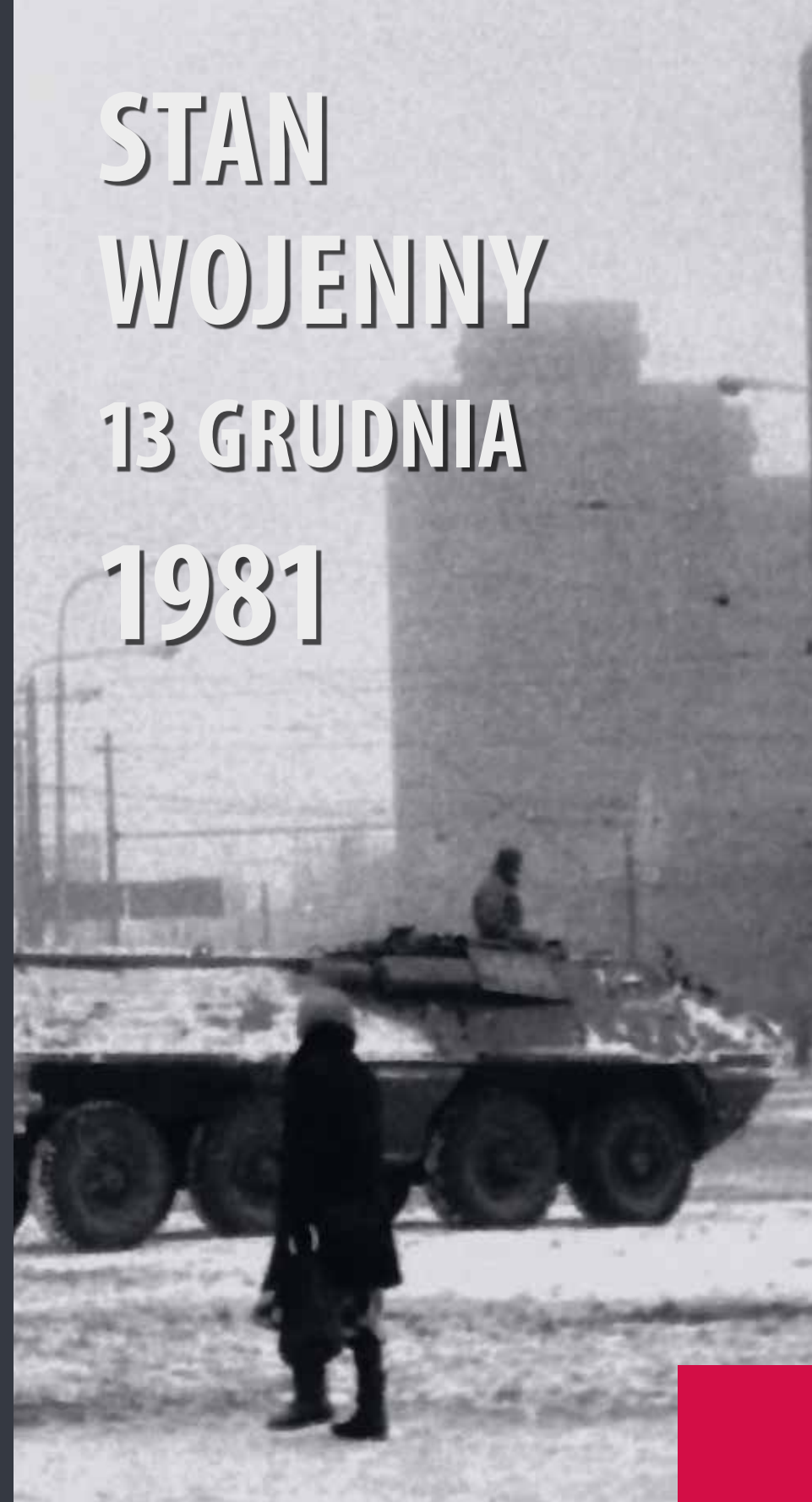


Nr 4/2021 (54)  
Kwartalnik  
ISSN 1899-508X  
Cena 9 zł  
(8% VAT)

pamięć i przyszłość

# STAN WOJENNY 13 GRUDNIA 1981





Ośrodek  
Pamięć i Przyszłość

## PAMIĘĆ I PRZYSZŁOŚĆ 54 (4/2021)

Kwartalnik wydawany przez  
Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”

Adres redakcji:

Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”

ul. Grabiszyńska 184

53-235 Wrocław

[www.zajezdnia.org](http://www.zajezdnia.org)

e-mail: [redakcja@zajezdnia.org](mailto:redakcja@zajezdnia.org)

Redakcja:

Katarzyna Uczkiewicz (redaktor naczelna)

Marcin Bradke

Korekta:

Agata Grzeleńska

Skład: J&J

Druk: ZAPOL Sobczyk Sp.J.

al. Piastów 42, 71-062 Szczecin

[www.zapol.com.pl](http://www.zapol.com.pl)

Fot. na okładce: Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”

Nakład: 600 egz.

Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zastrzegamy sobie prawo do skrótów i zmian w tekstach.

Prenumerata na rok 2022:  
[wydawnictwa@zajezdnia.org](mailto:wydawnictwa@zajezdnia.org)  
tel. 71 715 96 56

Czterdzieści lat temu, 13 grudnia 1981 r., władze PRL wprowadziły w Polsce stan wojenny. W ten sposób zakończył się kilkunastomiesięczny karnawał „Solidarności”, trwający od podpisania Porozumień Sierpniowych 30–31 sierpnia 1980 r. czas demokratyzacji i samoorganizacji społeczeństwa w warunkach reglamentowanej i – jak się wkrótce miało okazać – krótkotrwałej wolności.

Stan wojenny pozostaje jednym z najtragiczniejszych okresów w naszej wojennej historii. Na jego temat pisze się i mówi nie tylko przy okazji kolejnych rocznic. Czas ten jest szczególnie burzliwy również w historii polskich Ziem Zachodnich i Północnych. Nie tylko Gdańsk, ale także Szczecin, Wrocław, Lubin to miasta, które naturalnie kojarzą się z protestem wobec komunistycznych władz centra aktywności niezależnych związków zawodowych i opozycji demokratycznej, ośrodki masowych, często dramatycznych, niekiedy wręcz krwawych demonstracji i strajków. Najbardziej spektakularne epizody, takie jak uratowanie przed konfiskatą 80 milionów złotych ze związkowej kasy, aresztowania i internowania, a także działalność podziemna liderów, weszły nawet do popkultury. Niektórzy z nich, m.in. Władysław Frasyniuk czy Kornel Morawiecki, stali się ponadregionalnymi przywódcami opozycji, a wielu po 1989 r. budowało podstawy demokratycznej Rzeczypospolitej.

Historie te są znane i opisane, także na naszych łamach, dlatego najnowszy, rocznicowy numer kwartalnika „Pamięć i Przyszłość” poświęcamy słabiej znanym bohaterom stanu wojennego. Ludziom, którzy 14 grudnia, mimo strachu i oszołomienia, po prostu poszli do pracy – wiedząc, że prawdopodobnie nie będą wykonywać swoich zawodowych obowiązków. Przyszli jednak do pracy – by pokazać niezgodę na zamach, jaki peerelowskie władze, reprezentujące nominalnie właśnie „ludzi pracy”, przeprowadziły na własnych obywatelach; żeby udokumentować dramatyczne wypadki; żeby w końcu chronić swoich podwładnych i studentów, zagrożonych represjami. Młodzi robotnicy, fotoreporterzy i dziennikarze, rektor i profesorowie, a także emerytowany pracownik techniczny uniwersytetu, który wyprowadził zagrożonych zatrzymaniem z obleganego przez ZOMO budynku uczelni – to także bohaterowie tamtego czasu.

Katarzyna Uczkiewicz

Wrocław, 1981 r.



## Stan wojenny w Szczecinie

Pierwsze dni

**Próba generalną przed wprowadzeniem stanu wojennego była wojna propagandowa na murach, toczona w listopadzie 1981 r. pomiędzy opozycją a władzami.**

Od redakcji:

**I** Katarzyna Uczkiewicz

Jedno zdjęcie:

**2** Jan Cebrat, Wrocław 1981 r.

Temat numeru:

**5** Sebastian Ligarski, Stan wojenny w Szczecinie. Pierwsze dni**13** Łukasz Sottysik, Strajk w Polarze w grudniu 1981 r.**19** Łukasz Sottysik, Grzegorz Waligóra, Grudniowy strajk w Fabryce Automatów Tokarskich we Wrocławiu**25** Grzegorz Waligóra, Grudniowy strajk w Archimedesie w 1981 r.**32** Aleksander Srebrakowski, Obrazki z wojny jaruzelsko-polskiej**36** Paweł Miedziński, Centralna Agencja Fotograficzna wobec stanu wojennego**43** Michał Siedziako, O włos od tragedii? Rozbicie strajku w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego 14/15 grudnia 1981 r.**54** Aleksander Srebrakowski, Zapomniana ofiara stanu wojennego**61** Kolega z wojska, z ks. Andrzejem Dziełakiem o ks. Jerzym Popietuszcze rozmawia Marcin Bradke**65** Paweł Skrzywanek, współpraca Kamilla Jasińska, Blaski i cienie „rektorowania” w czasie stanu wojennego, czyli o Józefie Łukaszewiczu

Rocznica:

**73** Grzegorz Hryciuk, Niespokojna jesień 1956 r. na Dolnym Śląsku

Mała wielka historia:

**83** Katarzyna Rembacka, Pełnomocnicy okręgowi na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Przemysłana polityka kadrowa czy dzieło przypadku?

Trwające od sierpnia 1980 r. przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego w Polsce przewidywały, oprócz szeregu przedsięwzięć o charakterze militarnym, również działania propagandowe. 16 lutego 1981 r. podczas gry sztabowej w siedzibie Generalnego Inspektoratu Obrony Terytorialnej zaprezentowano gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu dotychczasowy stan przygotowań. Wnioski przedstawione przez generalicję były drugoczące dla partyjnych decydentów odpowiedzialnych za propagandową stronę operacji. W marcu 1981 r. Stanisław Kania i Wojciech Jaruzelski wiedzieli, że wprowadzenie stanu „W” nie jest możliwe. Wojskowi postanowili wziąć zatem sprawy w swoje ręce. W Głównym Zarządzie Politycznym Wojska Polskiego przystąpiono do organizowania grup operacyjnych, odpowiedzialnych za propagandę. Rozpoczęto przygotowania do zainstalowania specjalnego zapasowego studia telewizyjnego i radiowego, przystąpiono do typowania ludzi, którzy w odpowiedniej chwili wykonają każdy rozkaz. W prace włączyły się również Departament II i III MSW oraz poszczególne Wydziały „T” wojewódzkich komend milicji. Druk obwieszczenia o wprowadzeniu stanu wojennego zlecono KGB. Tenże wywiązał się należycie z zadania, transportując do Polski kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy, które zdeponowano w MSW. We wrześniu 1981 r. trafiły one do Sekretariatu Komitetu Obrony Kraju, gdzie czekały na rozklejenie w polskich miastach i wsiach.

W marcu 1981 r., w czasie tzw. kryzysu bydgoskiego, władze „Solidarności” w Szczecinie przygotowały instrukcję na wypadek wprowadzenia stanu wyjątkowego. Opracował ją Andrzej Milczanowski. Wskazywano w niej, iż „istnieje możliwość, że w przypadku strajku generalnego władze ogłoszą stan wyjątkowy. Wiązałoby się to z militaryzacją zakładów (pracownicy otrzymują karty powołania do wojska, przełożony staje się dowódcą, a odmowa pracy jest odmową wykonania rozkazu). Stan wyjątkowy oznaczać będzie prawdopodobnie próbę aresztowania w skali kraju kilku tysięcy osób z »Solidarności« i opozycji demokratycznej. W naszym regionie grozi to prawdopodobnie kilkuset osobom. Dlatego w organizacjach związkowych należy utworzyć grupy, które przejmą

kierownictwo organizacji zakładowych jako Komitety Strajkowe, gdyby aresztowano dotychczasowe Komisje Zakładowe. Komitety Strajkowe powinny utworzyć wtedy Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Na ogłoszenie przez władze stanu wyjątkowego należy odpowiedzieć strajkiem powszechnym. Załącza się ramową Instrukcję Strajkową dla Zakładowych Komitetów Strajkowych” – pisał Michał Siedziako. Dodajmy, że siedzibą MKS miała być Stocznia im. Warszawskiego w Szczecinie. Będzie miało to ogromne znaczenie w pierwszych godzinach stanu wojennego.

Władze wykorzystywały każdą okazję do ćwiczenia kolejnych wariantów rozwoju sytuacji. Przykładem była akcja strajkowa przeprowadzona przez NSZZ „Solidarność” 19–20 sierpnia 1981 r. pod hasłem „Dni bez prasy”. Strajk objął drukarzy i kolporterów prasy centralnej i regionalnej, co sparaliżowało system dystrybucji. MSW i MON poszukiwały alternatywnych źródeł druku. W Szczecinie wydrukowano dwa numery „Głosu Szczecińskiego” poza zakładami graficznymi, prawdopodobnie wykorzystując drukarnię wojskową. Wojsko wybrało osiem tras przelotu samolotów i śmigłowców oraz trzynaście tras przejazdu samochodów, które miały dostarczyć prasę partyjną do odpowiednich punktów kolportażu po wprowadzeniu stanu wojennego. Trasa nr 2 obejmowała między innymi start z wojskowej części lotniska Warszawa-Okęcie i przelot do Goleniowa, a następnie transport samochodami do Szczecina „Trybuny Ludu” i „Żołnierza Wolności”. Tego pierwszego tytułu przewidywano łącznie siedem tys. egzemplarzy (w tym pięć tysięcy dla instytucji cywilnych, pozostałe dla wojska) oraz pięć tys. egzemplarzy „Żołnierza Wolności” (w tym trzy tys. dla cywili i dwa dla wojska). Ponadto akcję związkową wykorzystano do sprawdzenia przepustowości Wojskowych Zakładów Graficznych oraz drukarni polowych RSZ.

W drugiej połowie 1981 r. szczeciński aparat partyjny próbował przejść do działań ofensywnych i wzmocnić aktyw partyjny. W październiku 1981 r. planowano powołać sztab informacyjno-propagandowy, mający zadanie przekazywania bieżącej informacji telefonicznej i telexowej, opracowania i dostarczenia zakładowym radiowęzłom trzech audycji informacyjno-propagandowych, wydawania codziennych „biuletynów informacyjnych” i przesyłania do KZ i POP. Przewidywano włączenie lokalnych plastyków do tworzenia plakatów i ulotek oraz ukierunkowanie informacji podawanych w prasie lokalnej.

Do 12 grudnia 1981 r. w Wydziale Ideologicznym KW PZPR, odpowiedzialnym na szczeblu wojewódzkim za organizację działań propagandowych, przygotowano siedem edycji pism „Sygnały” i „Argumenty” oraz 50 edycji różnych wydawnictw o łącznym nakładzie 85 tys. egzemplarzy. Na terenie Szczecina kolportowano także materiały przygotowywane centralnie, a próbą generalną przed wprowadzeniem stanu wojennego była walka na murach, toczona w listopadzie 1981 r. pomiędzy opozycją a władzami.

### Stan wojenny

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. Wojciech Jaruzelski ogłosił stan wojenny. W Szczecinie główny ciężar prowadzenia wojny z własnym narodem spadł na 12. Dywizję Zmechanizowaną, dowodzoną przez Henryka Szumskiego. Komendantem wojewódzkim MO był płk Jarosław Wernikowski. Głównym punktem oporu przeciwko władzy miała być Stocznia im. Adolfa Warszawskiego w Szczecinie, w której już od 3 grudnia 1981 r. trwało pogotowie strajkowe.



Widok z okien Biura Konstrucyjnego Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warszawskiego na blokadę. Fot. Zbigniew Wróblewski, 14 XII 1981 r.

W nocy 13 grudnia 1981 r. na terenie stoczni znaleźli się niektórzy członkowie Zarządu Regionu, jak choćby Mieczysław Ustasiak, Krzysztof Jagielski, Wojciech Duklanowski, Ewaryst Waligórski oraz doradcy związku, jak Andrzej Milczanowski i kilkadziesiąt innych osób, które w różny sposób dostały się do zakładu. Po informacjach napływających ze Szczecina postanowili oni proklamować strajk generalny od 14 grudnia, od godziny 6.00 rano. W tym czasie stocznia została otoczona przez czołgi 5. pułku zmechanizowanego 12DZ. Notabene ten pułk miał już na swoim koncie pacyfikację miasta w grudniu 1970 r. Drogi dojazdowe do zakładu zablokowane zostały przez 41. pułk zmechanizowany 12DZ. Starannie zaplanowana i przeprowadzana akcja internowań spowodowała, że w drodze z posiedzenia Komisji Krajowej w Gdańsku, w okolicach Stargardu, zatrzymano Mariana Jurczyka, przewodniczącego Zarządu Regionu i członka Komisji Krajowej oraz Stanisława Kocjana i Ryszarda Bogacza. Według Marty Marcinkiewicz do 16 grudnia internowano z województwa szczecińskiego 74 osoby. Najpierw przewożono je do siedziby Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej przy ul. Małopolskiej, a następnie do zakładu karnego w Goleniowie. Tam przebywali do 10 stycznia, skąd trafili do ośrodka odosobnienia w Wierchowiu Pomorskim.

W Szczecinie oprócz Stoczni Warszawskiego strajki podjęło jeszcze 14 innych zakładów pracy. Były to m.in: Famabud, Selfa, Polmozbyt, Stocznia Remontowa



Jerzy Różański, exlibris  
Grudzień 1970–1981 / zbiory  
Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

„Gryfia” czy „Parnica”. Ukształtowany już 13 grudnia 1981 r. MKS w Stoczni im. Warszawskiego, na czele którego stanął Mieczysław Ustasiak wraz z, de facto drugim szefem strajku, Andrzejem Milczanowskim, wysunął dwa postulaty: uwolnienia wszystkich aresztowanych oraz odwołania stanu wojennego. Wojsko i milicja nie zamierzały jednak tolerować tego protestu. Decyzję o jego sfłumieniu siłą podjął Henryk Szumski. Kilka minut po północy akcję rozpoczęły milicyjne polewaczki, które przy siedemnastostopniowym mrozie zaczęły polewać ludzi wodą. Następnie stojący naprzeciw bramy głównej czołg ruszył i rozbił ją, a cofając, uszkodził płytę postawioną dla uczczenia zbrodni z Grudnia 1970 r., której odsłonięcie planowano na 17 grudnia 1981 r. Równocześnie inny czołg rozbił bramę od ulicy Dubois. W obu przypadkach na teren stoczni weszły kompanie ZOMO, które bardzo szybko znalazły się pod stoczną świetlicą, gdzie siedzibę miał MKS. Po rozbiciu drzwi zomowcy weszli do środka i weszli na górę. Kapitan Jan Szumski, który pierwszy wszedł do świetlicy, przed sądem Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy zeznał: „W świetlicy mogło być około 150 do 200 osób w momencie, kiedy myśmy tam wkroczyli. Spostrzegłem między innymi, że na poszczególnych stolikach znajdowały się wizytówki z nazwami zakładów pracy. Stąd wnioskuję, że znajdowały się [tam] delegacje różnych zakładów pracy. [...] Będący w świetlicy ludzie zachowywali się spokojnie. Dowodzący pododdziałami MO ppłk. Trzpis poprosił [...] p. Milczanowskiego, aby przyczynił się, czy też spowodował spokojne opuszczenie świetlicy przez wszystkich ludzi. Ludzie po spisaniu i sprawdzeniu personaliów wyszli ze świetlicy. Żadnych incydentów nie było”. Emocje po obu stronach były jednak bardzo duże. Jeden kamień, jeden nerwowy ruch mógł doprowadzić do tragedii. Członków MKS wywieziono ze stoczni i umieszczono w KW MO. Niektórym, jak Ryszardowi Wyździe, udało się uciec. Strajk jednak trwał nadal, stocznia zatem rozwiązano, a po jej ponownym uruchomieniu i weryfikacji pracowników, zwolniono 1015 osób.

Idąc za ciosem, władze postanowiły następnego dnia, tj. 16 grudnia 1981 r., spacyfikować strajkujących w Szczecińskiej Stoczni Remontowej „Gryfia”. Ponad 600 zomowców oraz pięć barek desantowych około godziny 14.00 przystąpiło

do deblokady tego zakładu pracy. Po wejściu na jego teren szybko udało się spacyfikować strajkujących, których drogą wodną wywieziono ze stoczni. Następnie przewodzący strajku z Józefem Kalembą na czele zostali aresztowani. W podobny sposób, bez rozlewu krwi, spacyfikowano w Szczecinie: Famabud, Polmozbyt, Predom-Selfę czy WPKM. W Zespole Portów Szczecin-Świnoujście przeprowadzono 18 grudnia 1981 r. weryfikację pracowników przeładunków drobnicowych. Na 1322 osoby 58 zwolniono natychmiast, dalszych 13 zwolniono z Elewatora, 13 innych porzuciło pracę, co wiązało się ze zwolnieniem dyscyplinarnym.

### Pamięć o Grudniu 1970 r.

13 grudnia doszło jednak do obchodów rocznicy Grudnia 1970 r. W SSR „Gryfia” po ukształtowaniu się Komitetu Strajkowego, jego przewodniczący Józef Kalemba postanowił natychmiast przenieść zaplanowaną na 17 grudnia uroczystość odsłonięcia pomnika „O godność człowieka”. Uroczystości odbyły się o godzinie 20.00, a w czasie ich trwania członkowie związku składali ślubowanie, które zagrzewało ich do walki w reżimem. Gryfię spacyfikowano w ciągu następujących kilkunastu godzin.

Jak opisano wyżej, w nocy z 14 na 15 grudnia wojsko i ZOMO spacyfikowały największy zakład na Pomorzu Zachodnim, Stocznia im. Warszawskiego. Pomimo deblokady strajk trwał nadal, a 17 grudnia planowano złożyć kwiaty i odprawić mszę świętą przy tablicy ofiar, choć pierwotnie program uroczystości był znacznie bogatszy.

17 grudnia 1981 r., obawiając się zgromadzenia przed stoczną, w której nadal trwały protesty, Służba Bezpieczeństwa prowadziła sprawę o kryptonimie „Rocznica”. Do realizacji tego zadania wytypowano: 632 funkcjonariuszy ZOMO i OSMO, 1 kompanię WOP, 16 funkcjonariuszy RO, 28 funkcjonariuszy SB, 24 funkcjonariuszy MO, 44 funkcjonariuszy operacyjnych, 75 pojazdów, 2 więźniarki oraz wydano 632 pałki, 20 tarcz, 210 ręcznych wyrzutni gazów łzawiących (RWGŁ) oraz jedną jednostkę środków chemicznych. Obchody odbyły się w ciszy i skupieniu, złożono kwiaty pod uszkodzoną tablicą. Do żadnych starć nie doszło, choć do patrolowania ulic wokół stoczni skierowano dodatkowo batalion milicji. Pod tablicą mszę świętą odprawił ks. Stanisław Szwajkosz z pobliskiej parafii św. Stanisława Kostki.

Obchody 11. rocznicy rewolty grudniowej z 1970 r. odbyły się również w szczecińskim porcie. O godz. 7.30 „grupa osób z nabrzeża »Ewa« przeszła na nabrzeże »Łasztownia« – odśpiewano hymn państwowy. W wiecu wzięło udział 700 osób. Następnie wiec przemieścił się na nabrzeże »Czeskie« – próbowano nawiązać łączność przez kanały portowe – krzykiem i śpiewem ze stoczną Warszawską i SSR »Gryfia«. Około 11.20 portowcy wrócili na »Łasztownię« i zaczęli się rozchodzić. Do uczczenia Grudnia 1970 doszło też w innych zakładach pracy na terenie województwa. W Morskiej Stoczni Remontowej w Świnoujściu 17 grudnia 1981 r. o godz. 10.00 po uzgodnieniu z komisarzem wojskowym pracownicy zebrali się w stołówce, gdzie minutą ciszy i odśpiewaniem hymnu państwowego uczcili ofiary pacyfikacji z 1970 r. Około godz. 18.00 tego samego dnia na Wydziale Elektrycznym MSR Straż Przemysłowa „ujawniła napis o treści: »Nigdy nie zapomnimy ofiar grudnia 1970 r.«” wykonany czerwoną farbą olejną. SB wytypowała sprawców tego zabronionego przez władze czynu. W tym mieście o godz. 17.30 w kościele parafialnym odbyła się jeszcze msza św. w intencji Grudnia 1970 r.

Następnego dnia w Zakładzie Stoczni Przedsiębiorstwie Przetwórstwa Dalekomorskiego i Usług Rybackich „Odra” w Świnoujściu ujawniono ulotki o formacie A8, na których napisano m.in.: „11 rocznica przelanej robotniczej krwi: 7 zabitych, 39 rannych – tradycji stało się zadość. Władze polskie znów przypomniały, na co je stać”. W Elektrowni Dolna „Odra” na III bloku energetycznym „zawieszono płótno koloru czerwonego o wymiarach 2x2,5 metra z napisem z liter wyciętych z papieru »NSZZ Solidarność«, symbol szubienicy, napis 17.12.1970–17.12.1981. Ponadto przewieszono były trzy wstążki: czerwona, biała i czarna”. SB szybko ustaliła, że ich autorem był Jerzy Włodarski, pracownik Wydziału Ruchu Bloków, który został aresztowany, a napis zabezpieczony w celach dowodowych. W Zakładzie Stoczni PPDiUR „Odra” w Świnoujściu 19 grudnia odnaleziono naklejoną ulotkę napisaną ręcznie drukowanymi literami: „robotnicy wybrzeża nie zapomną górników” w czarnej ramce, zaś pod nią napis: „w 11 rocznicę tragedii władza daje dowód, jak wygląda »odnowa«”.

W Gdyni 17 grudnia złożono wiązanek kwiatów i zapalono znicze w miejscu, gdzie miał stanąć pomnik poległych. W Warszawie przy Puławskiej znaleziono ulotki sygnowane przez Oficynę Wydawniczą NOWA pt. „Polska w rocznicę grudnia 1970–1981”, w której napisano: „Jedenaście lat temu robotnicy polscy upomnieli się o prawo do godnego życia strajkami. Ta sama co dziś władza odpowiedziała im salwami armat czołgowych, seriami karabinów maszynowych i masowymi aresztowaniami. Aby po masakrze, po zamordowaniu setek niewinnych ludzi przyznać publicznie, że popełniona przez nią zbrodnia była pomyłką. Ta sama władza w jedenaście lat po zbrodni popełnionej na własnym narodzie, znów wyprowadziła na ulice i drogi Polski czołgi, samochody pancerne, uzbrojone w pistolety maszynowe milicję i wojsko. Zamiast masła, mięsa, pokoju, naród polski raz jeszcze otrzymał w prezencie gwiazdkowym policyjny terror. Uzurpatorska władza wprowadziła na obszarze całego kraju stan wojenny – mimo że ta sama władza od lat trzydziestu sześciu, [twierdzi] że po raz pierwszy w naszej państwowości mamy bezpieczne granice, że nie grozi nam agresja z zewnątrz”. I dalej konkludowano: „Społeczeństwo polskie mówiło veto juncie generałów oraz wyrażało solidarność z uwięzionymi. Tanki, gazy bojowe, pałki policyjne i tysiące nowych aresztowań (5000–7000) rozproszyły strajkujących. Lecz generałowie i sekretarze komitetów PZPR niech pamiętają, że w 1970 roku zamordowali setki walczących o chleb i wolność robotników, że maltretowali tysiące, że osadzili w więzieniach tysiące – lecz nie zniszczyli umiłowania wolności, sprawiedliwości, praworządności przez Naród Polski. W jedenastą rocznicę męczeńskiej śmierci Stoczniovców, których komunistyczna władza upamiętnia pięcioma tysiącami aresztowań, niesowietyzowana część polskiego społeczeństwa czci przyjęciem ideałów pomordowanych Robotników i kontynuowaniem rozpoczętej przez nich [walki] o Polskę Wolną i Sprawiedliwą. Niech krzyże ustawione przed gdańską stoczną będą wyrazem hołdu i pamięci dla pomordowanych oraz piętnem hańby dla nieludzkiej władzy”. W ulotkach, napisach na murach, gazetkach internowanych i innych materiałach drugo-obiegowych odwołania do Grudnia 1970 r. były stale obecne i przypominane.

### Propaganda

W momencie wprowadzenia stanu wojennego powołano centralny sztab informacji i propagandy oraz jego terenowe odpowiedniki. Były one odpowiedzialne za koordynowanie i programowanie działań propagandowych

w województwie. Szefem Wojewódzkiego Sztabu Informacji i Propagandy w Szczecinie został sekretarz KW PZPR (który brał udział jako gość w posiedzeniach Wojewódzkiego Komitetu Obrony, na czele którego stał pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju) wojewoda Tadeusz Waluszkiewicz, a od marca 1982 r. – Stanisław Malec.

Początkowo zadaniem propagandy było wyjaśnianie przyczyn wprowadzania stanu wojennego oraz upowszechnianie założeń programowych WRON. Należało wykazywać, że stan wojenny służy poprawie funkcjonowania administracji państwowej i gospodarczej, wzrostowi dyscypliny społecznej i zawodowej, stopniowemu rozwiązywaniu dolegliwości codziennego życia społecznego. Ponadto zalecano ukazywanie konkretnych wystąpień działaczy i członków „Solidarności” i innych grup opozycyjnych, wskazujących, że ich liderzy prowadzili politykę sprzeczną z interesami klasy robotniczej i całego narodu i dążyli przy pomocy kontrrewolucji do zdobycia władzy i zmiany ustroju. Na terenie miasta kolportowano wydawane centralnie odezwy do społeczeństwa i ulotki, prezentujące szczególnie ostre i wymierzone we władzę sformułowania członków związku. W Szczecinie zwracano uwagę na ulotki ze słowami Mariana Jurczyka z października 1981 r. o „budowaniu szubienic” dla komunistów. Członkowie partii nieraz mówili o niedomaganiach propagandy, wskazując na słabą jakość techniczną wydawanych materiałów, ich nieczytelność i małe nakłady. Wspominano o zaniedbaniach w pracy radiowęzłów i gazet zakładowych. Czynnione w tej materii działania miały dowodzić „nieśmiałości i braku zrozumienia” dla ważnej roli, jaką powinny odgrywać w tym okresie.

W nocy z 12 na 13 grudnia zawieszono wydawanie gazet codziennych oraz programy telewizyjne i radiowe (oprócz programu I). Radio i telewizję zmilitaryzowano. Szczeciński ośrodek radiowo-telewizyjny został zajęty przez żołnierzy, a jego pracownicy w części wysłani na przymusowe urlopy. Na początku stycznia 1982 r. przeszli weryfikację, w wyniku której około 20 osób z dnia na dzień wyrzucono z pracy.

W kioskach pojawiały się tylko „Trybuna Ludu” oraz „Żołnierz Wolności”. W Szczecinie w oparciu o redakcję „Głosu Szczecińskiego” powstały „Wiadomości Szczecińskie”. Dziennik wychodził od 14 grudnia 1981 r. do 14 stycznia 1982 r. Jego redaktorem naczelnym został Henryk Prawda. Po tym okresie wznowiono wydawanie codziennych gazet oraz przywrócono funkcjonowanie lokalnych rozgłośni Polskiego Radia i TV, choć w zmienionych składach i pod ścisłym nadzorem wojska (pracę stracił m.in. Władysław Daniszewski). Na szeroką skalę ingerowano w treść materiałów przekazywanych do mediów, a wiele programów i artykułów powstawało z inspiracji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i odpowiednich komórek Głównego Zarządu Politycznego WP.

W wojsku za działalność propagandowo-informacyjną odpowiedzialny był Zarząd Propagandy i Agitacji (tzw. Zarząd II) GZP WP. Utworzono w nim nieetatowy oddział informacyjno-propagandowy, składający się z sekcji: informacyjnej, politycznej, ulotnych materiałów propagandowych, propagandy dźwiękowej i środków masowego przekazu. W poszczególnych okręgach wojskowych w zarządach politycznych tworzone specjalne komórki odpowiedzialne za propagandę i pracę partyjno-polityczną. Zarząd Polityczny POW wydał 12 wzorów plakatów, obwieszczeń, odezw formatu A3 i A4 o nakładzie 31 tys. (w tym 10,5 tys. dla cywili). Ponadto 16 wzorów ulotek-błyskawic, których treść była szybką reakcją na zachodzące wydarzenia, formatu A4 i A5 o łącznym



## Strajk w Polarze w grudniu 1981 r.

**Polar był dużym zakładem zlokalizowanym na peryferiach Wrocławia w pobliżu większego i strategicznie ważniejszego Kombinatoru „PZL-Hydrał”. Tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego wśród pracowników Polaru dominował pogląd, że najważniejsze jest zachowanie spokoju.**

nakładzie 80 tys. egz. (w tym 32 tys. dla cywili). Dodatkowo: 25 biuletynów informacyjno-prasowych o objętości 20–50 stron druku w łącznym nakładzie 48 tys. egz. oraz 20 wzorów (500 kompletów) materiałów propagandowych, a także ulotki-błyskawice (8 wzorów – łącznie 70 tys. egz.). Działania podejmowano bardzo szybko i sprawnie, często „na telefon”, wykorzystując wcześniej nabyte doświadczenia.

W działalności wojska zwracano uwagę na codzienne prowadzenie pracy agitacyjnej wśród żołnierzy przez oficerów oddelegowanych z poszczególnych zarządów politycznych. Dodatkowo uruchomiono polowe wydanie „Żołnierza Polski Ludowej”. Inicjowano, a potem wspomagano wydziały KW PZPR w Szczecinie odpowiedzialne za pracę propagandowo-agitacyjną. Prowadzono na szeroką skalę działalność lektorską, szczególnie wśród młodzieży ostatnich lat szkoły podstawowej, nauczycieli, w zakładach pracy. W styczniu 1982 r. przeprowadzono 3205 spotkań z młodzieżą w 2438 szkołach podstawowych oraz 380 spotkań z nauczycielami. Tematyka dotyczyła przyczyn i istoty wprowadzenia stanu wojennego. W Szczecinie zadania te realizowała głównie 12. Dywizja Zmechanizowana.

Szczególne nasilenie działań propagandowych przypadło na lipiec–wrzesień 1982 r. przed spodziewanymi manifestacjami w drugą rocznicę porozumień sierpniowych. Zastosowano środki podobne jak w grudniu 1981 r. Do większości zakładów pracy skierowano grupy oficerów WP (na 2–5 dni). Działania informacyjno-wyjaśniające realizowali przedstawiciele władz polityczno-administracyjnych województwa, szeroki aktyw partyjny, oficerowie LWP, przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości i sił porządkowych. W halach produkcyjnych prowadzili indywidualne i grupowe rozmowy z robotnikami. Wskazywali na potrzebę ładu, porządku, spokoju oraz dyscypliny społecznej i zawodowej.

W warstwie wizualnej i treściowej propaganda stanu wojennego korzystała z wzorców epoki stalinowskiej w Polsce. Gdyby porównywać wydawnictwa okresu walki politycznej z przełomu 1946/1947 r. oraz inne charakterystyczne cechy tamtejszej propagandy, można wykazać, gdzie autorzy stanu wojennego szukali natchnienia do prowadzenia walki z opozycją. Warto wspomnieć tutaj o takich sztrafjach jak 3 X TAK, plakatach wykorzystujących symbolikę ochrony granic, wydawnictwach Wydziału Informacji KC PZPR, nawiązujących do propagandy antypeeselskiej okresu 1946/1947, czy nazewnictwie nawiązującym do organów władzy z lat 1945–1947.

Autor jest pracownikiem wrocławskiego oddziału IPN

Początki zakładu sięgają 1952 r., gdy utworzono najpierw Przedsiębiorstwo Państwowe Zakład Wydzielony Wrocław-Psie Pole, a kilka miesięcy później Zakłady Metalowe „Zakrzów”. Zmieniały się jego kolejne nazwy: w latach 1966–1974 był to ZM „Polar”, 1974–1982 ZZSD „Predom-Polar” i 1982–1995 ZZSD „Polar”. W latach 1974–1982 Polar był zrzeszony w Zjednoczeniu Przemysłu Zmechanizowanego Sprzętu Domowego „Predom”. We Wrocławiu przedsiębiorstwo miało dwie lokalizacje – główną na Zakrzowie oraz na Psim Polu, gdzie mieścił się wydział specjalny, produkujący amunicję na rzecz wojska. W latach 1968–1991 przedsiębiorstwo miało oddziały zamiejscowe m.in. w Żaganiu.

W latach 1952–1957 zakład produkował m.in. łańcuchowe piecyki gazowe, kołdry, łańcuchy dla wytwórców sprzętu rolniczego, a w latach 1956–1963 także motorowery. Od 1957 r. rozwijano produkcję lodówek i zamrażarek, od 1971 r. także pralek. W 1980 r. Polar zatrudniał 5942 osoby (5187 we Wrocławiu i 755 w Żaganiu), w 1981 r. – 6032 (5283 we Wrocławiu i 749 w Żaganiu) i należał do największych zakładów Wrocławia.

### Czas odnowy 1980–1981

W sierpniu 1980 r. pracownicy Polaru nie pozostali bierni wobec strajków, jakie ogarniały cały kraj. Do strajku w zakładzie tym doszło 27 sierpnia 1980 r. Pracę przerwało co najmniej 575 osób. Na działach, gdzie przerwano pracę, pracownicy wybrali kilkusobowe wydziałowe Komitety Strajkowe (KS). Solidaryzowano się z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym w Gdańsku oraz uchwalono własne zakładowe 22 postulaty. W dniach 29 sierpnia – 1 września cały zakład przystąpił do strajku, którym pokierował Zakładowy KS (ZKS). W nocy 1 września ZKS podpisał z kierownictwem ZZSD „Predom-Polar” porozumienie: dyrekcja uznała istnienie ZKS NSZZ i zobowiązywała się stworzyć warunki do jego działalności oraz uzgadniać z ZKS wszystkie decyzje ekonomiczne, socjalne i personalne.

Od września ZKS przekształcił się w Zakładowy Komitet Założycielski (ZKZ) NSZZ/NSZZ „Solidarność”. 22 października 1980 r. z inicjatywy ZKZ wybrano Radę Pracowniczą (RP) w składzie: przewodniczący G. Socha, Z. Piasecki, S. Kawa, Z. Grzejdzia, C. Lewandowski, Zygmunt Tadeusz Mirecki oraz wiceprzewodniczący Tadeusz Grabarz, będący przewodniczącym Związku

Zawodowego Metalowców. Jej celem było uzyskanie możliwości opiniowania planów produkcyjnych przedsiębiorstwa oraz niedopuszczenie do odtworzenia Konferencji Samorządu Robotniczego. Pamiętano także o osobach zwolnionych z Polaru po strajku 25 czerwca 1976 r. Podjęte zostały starania o przywrócenie chętnych do pracy oraz o przyznanie odszkodowań za represje.

Polarowska „Solidarność” angażowała się w ogólnopolskie akcje strajkowe (m.in. w ogólnopolski strajk 3 października 1980 r., zimą 1981 r. w walkę o wolne soboty, w marcu 1981 r. w czasie kryzysu bydgoskiego). Od końca sierpnia 1981 r. przygotowywano wybory do samorządu pracowniczego. Poziom uzwiązkowienia był wysoki. W październiku 1980 r. do „Solidarności” zapisało się blisko 5 tys. członków, a w lutym 1981 r. – ogniwo liczyło 5456 członków.

### Praktyka demokracji

Dla pracowników Polaru ważnym doświadczeniem były pierwsze demokratyczne wybory związkowe. Między grudniem 1980 r. a styczniem 1981 r. przeprowadzono wybory członków zarządów 53 Kół i 6 Komisji Zakładowych oraz wyłoniono delegatów na Walne Zebranie Zakładowych Delegatów (WZZD) w ZZSD „Predom-Polar”. 14 lutego odbyła się konferencja wyborcza II WZZD, na której wybrano Komisję Przedsiębiorstwa (KP) w składzie prezydium: przewodniczący G. Socha, wiceprzewodniczący Z.T. Mirecki, Marek Falenta, Krystyna Bialik, Stanisław Laskowicz, Piotr Rakowski, Henryk Klimczyk, Janusz Kluba, Elżbieta Majchrzak, Stanisław Maziarz (reprezentował oddział w Żaganii), Władysław Mościan, Waław Starakiewicz, Stanisław Woch, Mieczysław Wojciuch i K. Zadrożny oraz Komisję Rewizyjną w składzie: przewodniczący Z. Bruski, Krystyna Czerwińska, Zbigniew Grocholski, Leszek Kilian, Tadeusz Sudomirski, Ryszard Wróbel i Wanda Zajkowska.

21 maja 1981 r. odbyło się Nadzwyczajne WZZD Pracowników Polaru, na którym m.in. krytycznie oceniono dotychczasową działalność prezydium KP oraz odwołano G. Sochę z funkcji przewodniczącego. 15 czerwca odbyło się III WZZD, na którym m.in. wybrano nowego przewodniczącego (Mieczysława Szczepanika) i społecznego inspektora pracy (Władysława Kaczkowskiego). 22 czerwca na posiedzeniu KP wybrano nowy skład prezydium: przewodniczący M. Szczepanik, K. Bialik, Kazimierz Dudlej, Jerzy Gołębiowski, W. Kaczkowski, B. Litwiniuk, Andrzej Majchrzak, E. Majchrzak, Ryszard Małolepszy, Udo Mitscho, P. Rakowski, W. Starakiewicz i Mieczysław Zapolny. 29–30 czerwca 1981 r. na I Walnym Zebraniu Delegatów NSZZ „Solidarność” Regionu Dolny Śląsk delegatami z Polaru byli Z. Bruski, J. Domiszewski, H. Klimczyk, W. Starakiewicz, M. Szczepanik i K. Zadrożny. Natomiast delegatem na I Krajowy Zjazd Delegatów (KZD) NSZZ „Solidarność” z tego zakładu został Marek Zimnak, a B. Litwiniuk wybrano do Regionalnej Komisji Rewizyjnej.

18–19 listopada odbyło się IV WZZD. M. Szczepanikowi udzielono wotum zaufania. Podjęto decyzję o wydawaniu zakładowego pisma „Solidarność”. W grudniu udało się wydać dwa numery „Biuletynu Związkowego »Solidarność« Polar”, który przygotował K. Zadrożny we współpracy z M. Zimnakiem.

### Jesień protestów

Jesienią 1981 r. po obradach I KZD NSZZ „Solidarność” w Gdańsku sytuacja na linii „Solidarność” – rząd PRL zaostrzała się. W listopadzie i grudniu

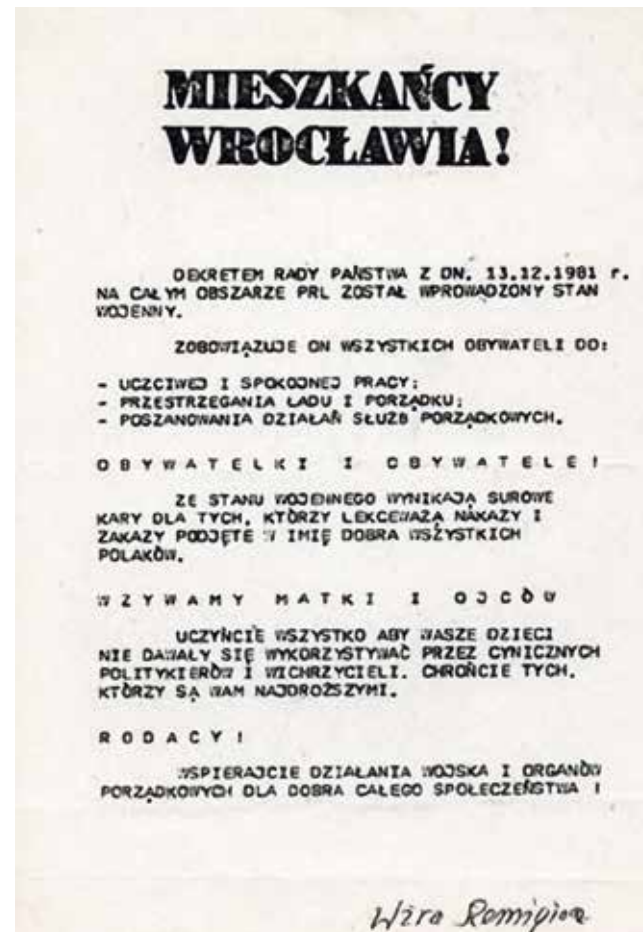
na uczelniach trwały solidarnościowe strajki okupacyjne studentów z Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS). W kilku miejscowościach strajki zorganizowali działacze NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” (m.in. w Siedlcach, Toruniu, Świdnicy). Pogłębiał się kryzys gospodarczy. Władze blokowały „Solidarności” dostęp do środków masowego przekazu, a jednocześnie prowadziły intensywną akcję propagandową, zarzucając związkowi sianie zamętu.

28 października rząd PRL skierował do Sejmu projekt ustawy o nadzwyczajnych środkach działania w interesie ochrony obywateli i państwa. Jej uchwalenie oznaczało ograniczenie możliwości prowadzenia działalności związkowej, m.in. prawa do strajku oraz dawało władzom furtkę do wprowadzenia stanu wyjątkowego. Komuniści kończyli przygotowania do rozprawienia się z „Solidarnością” i niezależnym ruchem społecznym. W gotowości trzymano wszystkie siły podległe MSW oraz Wojsko Polskie (WP). Służba Bezpieczeństwa (SB) na bieżąco uaktualniała spisy osób, które zamierzano internować.

3 grudnia 1981 r. w Radomiu obradowało prezydium KK NSZZ „Solidarność”. Postanowiono stanowczo domagać się reform. W przypadku braku ustępstw władz lub ataku na związek zaplanowano ogłosić strajk generalny. W następnych dniach Zarząd Regionu (ZR) NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk zlecił zakładowym ogniwoom zbadanie opinii pracowników, co należy uczynić w przypadku wprowadzenia stanu wyjątkowego. Wydano też instrukcję strajkową. 8 grudnia w Polarze wiceprzewodniczący K. Zadrożny zorganizował zebranie załogi; wzięło w nim udział 1000 osób. Przedstawił stanowisko KK i „poddał pod głosowanie kwestię, kto jest za konfrontacją?” Robotnicy pragnęli przede wszystkim spokoju społecznego.

### Wprowadzenie stanu wojennego

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. został wprowadzony stan wojenny. Władzę przejęła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRON), której przewodniczącym był generał Wojciech Jaruzelski. Rada Państwa, pod naciskiem WRON i MSW, przyjęła uchwałę o wprowadzeniu stanu wojennego oraz cztery dekrety. W całym kraju jednostki poległe MSW – Milicja Obywatelska, Służba Bezpieczeństwa, Zmechanizowane Odwoły Milicji Obywatelskiej (ZOMO) – przystąpiły do realizacji akcji specjalnych: „Azalia” (blokada łączności, radia



Odezwa do mieszkańców Wrocławia o wprowadzeniu stanu wojennego, zbiory Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

i telewizji), „Klon” (rozmowy ostrzegawcze z działaczami NSZZ „Solidarność” i organizacji opozycyjnych) oraz „Jodła” (internowania). Na ulice miast wprowadzono oddziały WP (oprócz żołnierzy, także czołgi i SKOT-y).

Zawieszono działalność organizacji i związków, wprowadzono godzinę milicyjną (od 22.00 do 6.00), przerwano łączność telefoniczną, poddano cenzurze przesyłki pocztowe, zamknięto granice państwa, zakazano strajków, zgromadzeń i wydawania druków poza cenzurą, bez specjalnych przepustek nie można było opuszczać miejsca zamieszkania, część zakładów została zmilitaryzowana. Obywatelowi łamiącemu przepisy stanu wojennego w trybie doraźnym sąd mógł wydać wyrok nawet kary śmierci oraz kary więzienia od 3 do 25 lat.

13 grudnia 1981 r. Wrocław stał się jednym z najważniejszych ośrodków oporu w Polsce. Wielu członków ZR (m.in. Władysław Frasyniuk, Piotr Bednarz, Jan Winnik, Józef Piniór, Kornel Morawiecki, Tadeusz Świerczewski) uniknęło internowania. Już rano 13 grudnia w Zajezdni Autobusowej nr VII MPK kierowcy ogłosili strajk. W. Frasyniuk jako przewodniczący Regionu Dolny Śląsk został szefem RKS. Zapadła decyzja o organizowaniu oporu w regionie. Zorganizowano łączność z zakładami pracy i zaczęto drukować ulotki i „Komunikaty” oraz przygotowywano numer podziemnej „Solidarności Dolnośląskiej”. Kornel Morawiecki organizował poligrafię i zespół redaktorów i drukarzy, który zaczął wydawać pismo „Z Dnia na Dzień”. Już 14 grudnia ukazał się pierwszy podziemny numer pisma. Od tego dnia w ponad 30 zakładach Wrocławia oraz na 4 uczelniach zaczęły wybuchać strajki, które do 19 grudnia tłumili oddziały ZOMO i WP.

Z Polaru na liście do internowania znajdował się Grzegorz Socha. Po południu 13 grudnia 1981 r. został zabrany z domu. Zatrzymania dokonano w obecności rodziny oraz Barbary Litwiniuk, Jana Krzyżosiaka i Bogdana Krzyżosiaka.

Barbara Tomaszewska (z domu Litwiniuk), wspomina: „Przed południem na pewno dotarłam do Grzegorza Sochy [...]. Razem zastanawialiśmy się, co zrobić? Już wtedy musiało paść słowo »strajk«. Ale jak to zrobić? W niedzielę pracowały jedynie osoby zatrudnione w ruchu ciągłym, a więc niewielka liczba ludzi. [...] Produkcja pralek i chłodziarek odbywała się na dwóch zmianach w halach rozmieszczonych na dużej przestrzeni. Zorganizowanie strajku nie było łatwą sprawą. Liczyliśmy na spontaniczną akcję związkowców. [...] Chcieliśmy, aby »Polar« w poniedziałek stanął”.

### Dynamika strajku (14–18 grudnia 1981 r.)

Napływające z miasta wieści o aresztowaniu i internowaniu wielu działaczy NSZZ „Solidarność”, strajkach prowadzonych we wrocławskich zakładach oraz powstaniu RKS wpłynęły mobilizująco na polarowskich działaczy „Solidarności”. 14 grudnia pracownicy pierwszej zmiany na różnych wydziałach przerwali pracę bądź prowadzili strajk włoski. Podobnie zachowywali się pracownicy drugiej zmiany. W dniach 15–16 grudnia przybrał on charakter strajku okupacyjnego, w którym liczba uczestników zmieniała się od 500 do 3500 osób. 15 grudnia od rana 3500 pracowników pierwszej zmiany zastosowało bierny opór – nie pracowali (maszyny i taśmy produkcyjne były wyłączone), ale pozostawali przy swoich stanowiskach pracy. W tym czasie zostały utworzone trzy KS. Jawny KS (JKS) z przewodniczącym H. Dydą, Bogdanem Krzyżosiakiem, Krzysztofem Kuną i B. Litwiniuk pokierował strajkiem. Na wypadek aresztowania jego członków powołano jeszcze dwa tajne KS (TKS). Pierwszy z nich miał podjąć działalność po pacyfikacji i przewidywanym aresztowaniu

członków JKS. W razie wpadki członków pierwszego TKS działalność miał rozpocząć drugi TKS. W składzie pierwszego TKS byli m.in. Przemysław Bogusławski i K. Zadrożny, w składzie drugiego – m.in. Irena Ściśel.

Około godziny 13.00 rozpoczął się wiec całej załogi. Jego inicjatorem był dyrektor Karol Popiel. Wiek prowadził H. Dydo. Dyrektor namawiał do przerwania protestu i powrotu do pracy. Około 14.30 uczestnicy przegłosowali decyzję o rozpoczęciu strajku okupacyjnego i zawieszeniu „działalności dyrekcji zakładu”. Nazwiska członków JKS zostały podane do publicznej wiadomości. Wieczorem ustalono, że kto chciał, mógł pojechać na noc do domu, a rano wrócić na strajk. W nocy w zakładzie pozostało 500 strajkujących.

16 grudnia rano do pracy stawili się pracownicy pierwszej zmiany i liczba uczestników strajku wzrosła do 3500. Około południa postanowiono zorganizować mszę św. Eucharystię sprawował ks. Marian Staneta, proboszcz parafii św. św. Jakuba i Krzysztofa na Psim Polu. Była to jedna z dwóch mszy św. odprawionych w tych dniach we Wrocławiu (pierwszą dzień wcześniej odprawił o. Ludwik Wiśniewski na strajku na Politechnice Wrocławskiej). Pod koniec mszy św. rozpoczęła się pacyfikacja strajku. Wszystkich uczestników nabożeństwa wyprowadzono przed zakład. Niektóre osoby zatrzymano do przesłuchania lub internowania (m.in. B. Litwiniuk). Późnym popołudniem po pacyfikacji do pracy przyjechali pracownicy drugiej zmiany, ale zakładowy komisarz wojskowy z dyrekcją odesłali wszystkich do domu.

17 grudnia, gdy załoga przyszła rano do pracy, strajk został wznowiony. Wrocławska SB raportowała do MSW: „W Polarze pracownicy zakładu pozorują pracę. Uwidacznia się bierny opór”. 18 grudnia robotnicy nadal strajkowali, aż do przybycia ZOMO i oddziałów WP, które wcześniej tego dnia odblokowały FAT i Fadromę. Po wezwaniu do przerwania strajku i natychmiastowego opuszczenia zakładu bez incydentów załogę wprowadzono poza teren Polaru.

### Strajk w pamięci uczestników

Czesław Wnuczek: „[14 grudnia], gdy wysiadłem z autobusu zakładowego na „starym zakładzie”, wysiadali również ludzie z innych autobusów. Widziałem wśród nich duże napięcie i dyskusje. Ludzie bali się używać słowa strajk. [...] Rano przyszedł kierownik Henryk Zimmermann i powiedział: „Panowie, włączamy maszyny, związek zdelegalizowany, pracujemy normalnie”. Ale każdy świadomie kręcił się, rozmawiał z kimś innym. I tak minęło pół godziny, godzina, 2 godziny. Pamiętam, że przyszedł Heniek Dydo i powiedział, że nie podejmujemy dzisiaj pracy. Pracownicy po pięćdziesiątce, sześćdziesiątce mieli różne uwagi... po prostu bali się”.

K. Zadrożny: „14 grudnia strajk był rotacyjny, czyli po skończonej zmianie ludzie udawali się do domów. Był taki moment na drugiej zmianie, że podjęli oni pracę po groźbach dyrektora Władysława Romańskiego. Jednak już od 15 grudnia był to strajk okupacyjny”.

H. Dydo: „Zaczął się od tego, że ludzie zaczęli jednak włączać maszyny, zaczęły się dyskusje, czy strajkujemy, czy nie. [...] Postanowiliśmy się spotkać w bezpieczniejszym miejscu z resztą działaczy »Solidarności«. Wybraliśmy kanciapę na wydziale remontowym z tyłu za kominem. Tam podjęliśmy decyzję o wyborze Komitetu Strajkowego i o postulatach. [...] Byłem u dyrektorów Jana Nowickiego i Karola Popiela przed wiecem. Oni próbowali mnie przekonać do tego, żebym żadnego strajku nie ogłaszała. Ja sam nie byłem pewien tej decyzji”.

## Łukasz Sołtysik, Grzegorz Waligóra Grudniowy strajk w Fabryce Automatów Tokarskich we Wrocławiu

**W latach 80. zakładowa „Solidarność” w FAT należała do najbardziej aktywnych komisji zakładowych we Wrocławiu, a protest zorganizowany przez jej pracowników w pierwszych dniach stanu wojennego okazał się wręcz modelowy. O obliczu zakładowej „Solidarności” w dużym stopniu decydował jej charyzmatyczny przywódca Wiktor Stasik. Postulat strajkujących o zwolnienie go z internowania był jednym z nielicznych, które udało się wywalczyć.**

Autor jest pracownikiem wrocławskiego oddziału IPN

B. Tomaszewska: „Decyzja o strajku zapadła na wiecu zorganizowanym przez dyrekcję. Po przemówieniu Heńka odbyło się jawne głosowanie. Pierwsze nie dało rozstrzygnięcia. Heniek zarządził ponowne głosowanie. Las rąk jednoznacznie przesądził o wyniku głosowania. Wśród dyrekcji powstało zamieszanie. Któryś z dyrektorów, Popiel albo Nowicki, krzyczał: »Komitet Strajkowy bierze odpowiedzialność za zakład!«.

P. Bogusławski: „Do pierwszej pacyfikacji doszło podczas mszy świętej, odprawianej w zakładzie 16 grudnia. Ktoś zaproponował, żeby przyszedł ksiądz Marian Staneta. Na podwyższeniu zrobiliśmy ołtarz, ktoś miał gitarę oraz zapewniono dobre nagłośnienie. Esbecy stanęły przy wejściach. Po mszy komisarz wojskowy podszedł do mikrofonu i kazał ludziom zejść się na swoje stanowiska pracy. Kiedy ludzie się ruszyli, zaczął się atak ZOMO. Do swojego stanowiska pracy miałem z pięćdziesiąt metrów i spokojnie udało mi się do niego wrócić. Nie miał szczęścia mój kolega, który zaczął uciekać. Został złapany i bardzo mocno poturbowany”.

### Konsekwencje

19 grudnia przedsiębiorstwo rozwiązano, a około 600 polarowców zgłosiło się do przychodni zdrowia po zwolnienie lekarskie. Pracę nieprzerwanie świadczyli tylko nieliczni pracownicy utrzymania ruchu. Od 21 grudnia 1981 r. do 8 stycznia 1982 r. załogę zatrudniono na nowych warunkach, lecz 54 osób nie przyjęto już do pracy, wśród nich m.in. B. Litwiniuk, H. Dydo, B. Krzyżosiaka i K. Kuny. Między 13 a 22 grudnia 1981 r. internowano 17 pracowników Polaru. 22 grudnia do pracy przyszło 3000 osób z 3900, które powinny pracować. 900 osób pozostawało na zwolnieniach lekarskich lub urlopowych wypoczynkowych. W tym czasie w zakładzie działalność podziemną organizowali H. Dydo i B. Krzyżosiak, którzy pozostawali w kontakcie z RKS Dolny Śląsk. Po ich internowaniu w styczniu 1982 r. krótko działalność kontynuował Andrzej Puryj.

Po ostatniej pacyfikacji i rozwiązaniu zakładu aktywny w podziemiu pozostał P. Bogusławski. Z jego inicjatywy TKS powołał Komitet Pomocy Aresztowanym i Internowanym. SB już 23 grudnia 1981 r. odnotowała, że w Polarze kolportowano ulotkę podpisaną „przez [Tajny] Komitet Strajkowy PREDOM POLAR, opatrzony pieczęcią NSZZ »Solidarność«”. W ulotce napisano m.in.: „Pozdrowienia, spokojnych bez aresztowań i interwencji dni, przesyła Komitet Pomocy Aresztowanych i Internowanych”. Dalej zostały w niej wymienione nazwiska osób internowanych z Polaru. W czasie stanu wojennego z zakładu tego internowano łącznie 51 pracowników. Najdłużej pozbawieni wolności byli B. Litwiniuk, G. Socha, M. Falenta, B. Krzyżosiak, H. Dydo i K. Kuna.

W latach 1982–1988 konspiracyjną działalność w przedsiębiorstwie prowadził TKS, który w lipcu 1982 r. przyjął nazwę Tymczasowej Komisji Zakładowej (m.in. przewodniczący P. Bogusławski, wiceprzewodniczący K. Zadrożny, Cz. Wnuczek, w 1983 r. Józef Kubalka i S. Kawa). Współpracowano z RKS Dolny Śląsk, a następnie także z Regionalną Komisją Wykonawczą NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk. W latach 1982–1989 polarowscy członkowie „Solidarności” wydawali podziemne zakładowe pismo „U Nas”. Do 1989 r. angażowali się też w działalność innych środowisk – Solidarności Walczącej, Konfederacji Polski Niepodległej, Polskiej Partii Socjalistycznej, współpracowali z Arcybiskupim Komitetem Charytatywnym we Wrocławiu, ks. Stanisławem Orzechowskim z parafii św. Wawrzyńca i w różnych parafiach z Duszpasterstwami Ludzi Pracy (m.in. w parafii św. Klemensa Dworzaka).

Fabryka Automatów Tokarskich we Wrocławiu to w okresie PRL jeden z ważniejszych zakładów w mieście. W 1980 r. zatrudniała ok. 2700 pracowników i należała do fabryk średniej wielkości. Popularny FAT powstał po wojnie, w miejscu poniemieckich Zakładów Metalowych Gustawa Trelenberga oraz Zakładów Produkcji Maszyn Friedricha Heckmanna przy ul. Grabiszyńskiej 269–281. W latach 1946–1948 uruchomiono tu Państwową Fabrykę Obrabiarerek. Początkowo w zakładzie produkowano piły ramowe, wiertarki kolumnowe i słupowe oraz strugarki, od 1953 r. tylko tokarki, a od 1975 r. tokarki automatyczne na licencjach zagranicznych.

### „Solidarność” w zakładzie w okresie legalnym

W sierpniu 1980 r. fala strajków ogarnęła całą Polskę. Masowy protest robotniczy zakończył się podpisaniem porozumień sierpniowych w Szczecinie i Gdańsku, na mocy których władze PRL wyraziły zgodę na tworzenie niezależnych samorządnych związków zawodowych. Swoją udział w tym masowym proteście miała także załoga FAT, która jako jedna z pierwszych przyłączyła się do strajku, zainicjowanego we Wrocławiu przez pracowników Zajeźdźni Autobusowej nr VII MPK przy ul. Grabiszyńskiej. 26 sierpnia pracownicy FAT rozpoczęli strajk okupacyjny, którym kierował Zakładowy Komitet Strajkowy. W jego składzie znaleźli się m.in.: przewodniczący Zbigniew Tyluś oraz Rafał Cichoński, Stefan Dymny, Stefan Frączek, Jan Rogala, Józef Saleta, Wiktor Stasik, Zygmunt Szafranski, Zdzisław Urbański. Nawiązano kontakt z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym we Wrocławiu, łącznikami byli Henryk Grochulski i Leon Pioterek. Po podpisaniu porozumień przekształcił się w tym samym składzie w Zakładowy Komitet Założycielski. W listopadzie i grudniu 1980 r. przeprowadzono demokratyczne wybory, które wyłoniły władze zakładowej „Solidarności”. Na czele stanął charyzmatyczny tokarz Wiktor Stasik. Wiceprzewodniczącymi zostali Józef Saleta i Tadeusz Gigiel. Pod koniec 1980 r. liczba członków „Solidarności” wyniosła 2371, a wiosną 1981 r. 2419. Do związku akces zgłosiło więc blisko 90 proc. załogi. Zakładowa „Solidarność” skupiała się przede wszystkim na problemach związkowych

i działaniach na rzecz polepszenia warunków codziennej pracy, wzmocnienia opieki socjalnej, rozwiązywania problemów związanych z organizacją produkcji itp. Badano rozdział talonów na samochody oraz bulwersującą załogę kwestie finansowe i niegospodarność dyrekcji. W listopadzie 1980 r. zebrane przez „Solidarność” materiały dały podstawę do odwołania S. Piskornika z funkcji dyrektora naczelnego. Z poparciem „Solidarności” nowym dyrektorem naczelnym został Roman Pawłów.

W 1981 r. „Solidarność” kontynuowała wyjaśnianie zakładowych afer finansowych i w fabryce odbyły się kontrole Najwyższej Izby Kontroli. W styczniu 1981 r. załoga wzięła udział w bojkocie pracy w soboty (blisko 100 proc. absencji pracowników). 6 lutego 1981 r. podpisano umowę o współpracy KZ NSZZ „Solidarność” z dyrekcją, związkowcy co tydzień uczestniczyli w naradach z kierownictwem zakładu. Uregulowano m.in. zmiany na stanowiskach kierowniczych i w strukturze administracji, warunki awansów, podziału funduszu premii, kontroli przydziału wczasów pracowniczych itp. Od sierpnia 1981 r. dużym zainteresowaniem KZ cieszyła się idea samorządu pracowniczego. Między październikiem a grudniem 1981 r. przeprowadzono referendum wśród załogi na ten temat, a następnie wybory. Przewodniczącym został związany z „Solidarnością” Zygmunt Nowakowski, a pierwsze posiedzenie Rady Pracowniczej odbyło się tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego, 12 grudnia 1981 r.

### Stan wojenny

Sytuacja zaistniała w Polsce po podpisaniu porozumień sierpniowych w 1980 r. od początku była nie do zaakceptowania dla komunistów. Ustępstwa traktowano w obozie władzy jako manewr taktyczny, obliczony na uzyskanie czasu do siłowej rozprawy ze społeczeństwem. Ostatecznie w nocy z 12 na 13 grudnia w całym kraju wprowadzono stan wojenny.

W listopadzie i grudniu 1981 r. Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność” oraz Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk wydały nowe wytyczne na wypadek ataku na związek i aresztowania liderów. Przeprowadzony miał być ogólnopolski masowy bierny strajk okupacyjny robotników w zakładach pracy. Protestami kierować miały zakładowe komitety strajkowe (ZKS), a na szczeblu regionu regionalne komitety strajkowe (RKS).

Zgodnie z tymi zalecaniami od rana 13 grudnia 1981 r. w Zajezdni Autobusowej nr VII MPK we Wrocławiu zaczęli gromadzić się niearesztowani członkowie ZR, wśród nich najwyższy rangą wiceprzewodniczący Piotr Bednarz. W myśl instrukcji związkowych powołano RKS NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk. Kilka godzin później dołączył do nich Władysław Frasyniuk, który stanął na czele komitetu. Postanowiono przenieść się na teren Państwowej Fabryki Wagonów „Pafawag” i tam oraz w sąsiadujących Dolnośląskich Zakładach Wytwórczych Maszyn Elektrycznych „Dolmel” stworzyć główną bazę oporu w mieście. Między 13 a 18 grudnia 1981 r. w stolicy Dolnego Śląska strajkowało ponad 30 zakładów.

### Strajk w zakładzie

Do organizacji strajku przystąpili także pracownicy FAT. Chcąc osłabić opór w tej ważnej dla gospodarki fabryce, na liście kandydatów do internowania umieszczono dwóch głównych organizatorów i przywódców związku w tym przedsiębiorstwie, cieszących się dużym autorytetem wśród załogi: przewodniczącego KZ W. Stasika i jego zastępcę J. Saletę. Plany te udało się zrealizować



Teren Fabryki Automatów Tokarskich we Wrocławiu, archiwum IPN Wrocław / zbiory Wiktora Stasika

tylko częściowo. W nocy 13 grudnia zatrzymano W. Stasika. Zawieziono go na komendę przy ul. Łąkowej, a następnie do więzienia przy ul. Kleczkowskiej, gdzie w zakładzie karnym został utworzony ośrodek odosobnienia dla internowanych działaczy „Solidarności”.

Gdy esbecy ze Stasikiem opuścili mieszkanie, jego żona Urszula zawiadomiła o zdarzeniu Jerzego Garbaciaka, sąsiada i kolegę męża z pracy. Ten zaś przekazał wiadomość wiceprzewodniczącemu T. Giegelowi. W kolejnych godzinach wieści rozeszły się wśród członków „Solidarności” w FAT. Członkowie KZ pojechali do zakładu (m.in. J. Saleta, T. Giegel, Z. Szafrąński), aby zorganizować strajk okupacyjny. Zgodnie z instrukcjami KZ przekształciła się w ZKS, na czele którego stanął Józef Saleta.

Związkowcy przenocowali w fabryce. Rano J. Saleta polecił Z. Szafrąnskiemu, aby poszedł (w misji towarzyszyła mu jeszcze jedna osoba) w roli przedstawiciela FAT do Pafawagu, gdzie w tym czasie przebywali przywódcy RKS. Miał przekazać informacje o sytuacji na terenie FAT i przynieść najświeższe wiadomości z Pafawagu. Po powrocie wraz z J. Saletą zorganizowali wiec załogi, na którym został proklamowany strajk okupacyjny. Sformułowano trzy postulaty: 1. Odwołać stan wojenny; 2. Uwolnić internowanych; 3. Uwolnić Stasika. Dyrekcji zakładu oraz KZ PZPR zależało na jak najszybszym zakończeniu protestu i wznowieniu produkcji, więc interweniowali w KW PZPR i KW MO, by Stasik został pilnie zwolniony. Liczono na szybkie wygaszenie strajku. Nie są znane kulisy rozmów między ZKS a dyrekcją, choć wydaje się, że do nich doszło i prawdopodobnie ze strony „Solidarności” zostały złożone jakieś obietnice. SB bowiem zanotowała, że ZKS ogłaszając 14 grudnia strajk w FAT, stwierdził, że „załoga przystąpi do pracy pod warunkiem zwolnienia internowanego przewodniczącego KZ NSZZ »Solidarność« ob. Stasika”. Co ciekawe, napisano jeszcze: „Żądanie zostanie zrealizowane”. Interwencja się udała. Stasika wypuszczono na wolność i przywieziono go z więzienia na teren fabryki. Przedstawiciele partii próbowali wymusić na strajkujących przerwanie protestu. ZKS nie ugiął się, ponieważ



Od lewej: W. Stasik, T. Gigiel i J. Saleta, 1981 r., Archiwum IPN Wrocław / zbiory Wiktora Stasika

pozostałe dwa postulaty nie zostały spełnione, protest był kontynuowany.

Z notatek SB z 15 grudnia wynika, że pomimo zwolnienia z internowania Wiktora Stasika („co było warunkiem przerwania ogłoszonego 14 grudnia strajku okupacyjnego”), strajk w FAT trwał. Nadal uczestniczyło w nim około 2000 pracowników. Bramy wejściowe były od wewnątrz zablokowane samochodami ciężarowymi. Przedstawiciel wojska płk. Dobosz postawił strajkującym ultimatum, że jeśli załoga nie podejmie pracy do godziny 13.00, nastąpi interwencja sił porządkowych i wojska. ZKS nie spełnił tych żądań. Pozbawił natomiast dyrektora naczelnego Romana Pawłowa prawa wyjścia z zakładu, a pracownikom nakazał wejść na halę, pozamykać się i czekać. Zablokowanego zakładu strzegły warty straży robotniczej. Zdaniem SB organizacja strajku była dziełem grupy około 50 osób, a do najaktywniejszych zaliczono: Alfreda Jurczyka, T. Gigiel, Z. Tylusia, H. Grochulskiego, K. Ładę, Józefa Tomasika, Józefa Makowskiego, L. Pioterka i W. Stasika. Do tego grona z pewnością należy jeszcze dodać Z. Szafrąńskiego, Pawła Knapa i J. Saletę.

Po południu 14 grudnia do strajkujących dotarła informacja, że następnego dnia o godzinie 5.00 rano

planowana jest pacyfikacja Pafawagu. Z. Szafrąński ponownie poszedł do siedziby RKS ostrzec przed planowaną interwencją sił porządkowych. Informacja okazała się prawdziwa – o godzinie 5.00 rano nastąpił atak wojska i ZOMO na Pafawag i Dolmel.

Tymczasem w nocy z 14 na 15 grudnia przywódcy RKS Władysław Frasnyniuk, Piotr Bednarz i Józef Piniór opuścili Pafawag i wyruszyli do FAT, gdzie – według relacji Z. Szafrąńskiego – przemoczeni dotarli około godziny 4.00. 15 grudnia odbył się tam wiec, na którym przemawiali także wszyscy trzej liderzy RKS. W. Frasnyniuk zapamiętał, że FAT był jednym z tych zakładów we Wrocławiu, którego załoga zgodnie z instrukcjami wydanymi w listopadzie 1981 r. przez ZR NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk sprawnie zorganizowała strajk. Przedsiębiorstwo oflagowano, wisiąły transparenty, a strajkiem kierowali członkowie ZKS. Pół roku później opowiadał: „We wrocławskim FAT na przykład wisiąca nad stolarnią biało-czerwona flaga, a ponieważ stolarze odmówili jej zdjęcia, wszystkich ich zamknięto”. Po wiecu przywódcy RKS opuścili zakład, udając

się do pobliskiego Hutmenu i Fabryki Maszyn Budowlanych „Bumar-Fadroma”, byli też w Dolmelu. Do FAT wrócili wczesnym rankiem 16 grudnia. Zostali tam dobrze ukryci, ale puszczono fałszywą informację, że opuścili już fabrykę.

16 grudnia 1981 r. o godzinie 7.00 rozpoczęła się we Wrocławiu pacyfikacja protestujących przedsiębiorstw. Pierwszy był FAT. Po akcji sił porządkowych załoga przystąpiła do pracy. Zatrzymano około 30 osób. Gdy sytuacja się uspokoiła, W. Frasnyniuk, P. Bednarz i J. Piniór opuścili zakład. Po południu druga zmiana wznowiła strajk z inicjatywy ZKS. Według ustaleń SB, rano 17 grudnia do fabryki przybyli pracownicy i ogłosili strajk okupacyjny. Interweniowało wojsko i MO. Efekty nie były w pełni zadowalające, ponieważ pracę podjęli ludzie z pierwszej zmiany, ale druga zmiana do pracy nie przystąpiła.

18 grudnia 1981 r. oddziały ZOMO i WP przeprowadziły w FAT kolejną pacyfikację, jedną z kilku tego dnia w mieście. Cała strajkująca załoga została wyprowadzona poza zakład, a następnie część osób internowano lub zatrzymano w areszcie „do dalszych decyzji”. Z. Szafrąński zapamiętał, że zomowcy nie weszli już do środka, tylko kazali wszystkim wyjść. Po wylegitymowaniu puszczali ich do domu lub zatrzymywali. W. Stasik wspominał: „W dniu 18 grudnia 1981 r. szczerlnie otoczono FAT czołgami i wozami bojowymi, wprowadzając do zakładu duże oddziały ZOMO i wojska. Dali nam 15 minut na opuszczenie zakładu, a następnie rozwiązano zakład. Zatrzymano wówczas i internowano kilkudziesięciu pracowników. Wśród tej grupy byłem i ja”. Według danych SB tego dnia po pacyfikacjach FAT, Fadromy i Zakładów Zmechanizowanego Sprzętu Domowego „Predom-Polar” internowano łącznie 45 osób, zaś 43 zatrzymano.

Władze ogłosiły militaryzację tych krnąbrnych przedsiębiorstw. Ponadto zastosowały wobec nich lokaut. FAT został rozwiązany (tzn. przestał mieć podmiotowość prawną), co w praktyce oznaczało zwolnienie wszystkich pracowników. W opustoszałej fabryce oprócz komisarza wojskowego przebywała wyłącznie kadra kierownicza, pracowały wydziały utrzymania ruchu. Nabór pracowników na nowych warunkach pracy, połączony z weryfikacją, rozpoczął się według różnych relacji od 19 grudnia, 21 grudnia lub – jak zapamiętał Z. Szafrąński – nawet od 27 grudnia 1981 r. W wyniku weryfikacji do pracy nie przyjęto m.in. Szafrąńskiego, który 4 stycznia 1982 r. otrzymał wypowiedzenie. W czasie tych strajkowych dni popieranym przez „Solidarność” dyrektor Roman Pawłowski nie stanął po stronie załogi i zachował stanowisko do końca PRL.

## Represje

18 grudnia 1981 r. Wiktor Stasik po wyjściu z fabryki został ponownie internowany (a wraz z nim 15 innych uczestników strajku) i umieszczony w Ośrodku Odosobnienia (OO) w Zakładzie Karnym (ZK) we Wrocławiu przy ul. Kleczkowskiej. 7 stycznia 1982 r. W. Stasik z grupą kilkudziesięciu osób trzema więźniarkami został przewieziony do OO w ZK w Grodkowie. Ogółem w stanie wojennym zostało internowanych 40 pracowników FAT, przetrzymywanych w OO w ZK we Wrocławiu, Grodkowie, Nysie i Strzelinie, co plasuje ten zakład na 6. miejscu we Wrocławiu. Najdłużej internowanym był T. Gigiel, dwukrotnie: Jerzy Garbaciak, J. Gigiel, Tadeusz Pasternak, J. Saleta i W. Stasik. Od listopada 1982 r. do lutego 1983 r. w wojskowym obozie specjalnym w Rawiczu trzymiesięczną zasadniczą służbę wojskową odbyli P. Knap i Janusz Bieszczad. To tzw. internowanie w wojsku, jedna

# ZAKAZ STRAJKÓW

**„Zawieszają się prawo do strajków i akcji protestacyjnych”**

## Odpowiedzialność organizatorów:

**„Kto organizuje albo kieruje strajkiem lub akcją protestacyjną podlega karze pozbawienia wolności do lat 5”**

## Odpowiedzialność uczestników:

**„Kto uczestniczy w strajku albo akcji protestacyjnej podlega karze aresztu do 3 miesięcy albo karze grzywny do 5.000 złotych”**

**Z DEKRETU O STANIE WOJENNYM**

Ulotka propagandowa Zakaz strajków, fot. Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”

z form represji władz PRL, którą stosowano wobec ludzi „Solidarności”. Działacz „Solidarności” Zbigniew Fryszak z wrocławskiego FAT trafił do karnej kompanii w jednostce Wojska Polskiego w Jarosławiu.

### Działalność w podziemiu

Opór w FAT nie skończył się wraz z pacyfikacją zakładu 18 grudnia 1981 r., ale trwał do 1989 r. Od stycznia 1982 r. kolportowano podziemne pismo „Z Dnia na Dzień” i ściśle współpracowano z RKS NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk. W kolejnych miesiącach i latach liczba kolportowanych w fabryce tytułów rosła. Działalność podziemna rozwinęła się, gdy z ośrodków odosobnienia zwolniono w kwietniu 1982 r. J. Saletę i w lipcu 1982 r. W. Stasika i utworzono Tajną KZ (TKZ), którą obaj nieprzerwanie kierowali wraz T. Gigielem. Zbierano składki na działalność statutową związku, dla osób represjonowanych (kolegia, prawnicy) i ich rodzin, na wydawanie zakładowych podziemnych pism, ulotek i druków okolicznościowych (kart świątecznych, banknotów). Część zebranych funduszy odprowadzano do kasy RKS.

TKZ w Fabryce Automatów Tokarskich wydawała podziemne zakładowe pisma. W latach 1982–1989 jej organem prasowym była „Fatamorgana”, ponadto w latach 1983–1986 „Solidarność FAT” i w latach 1983–1985 „Serwis Informacyjny”. W sierpniu 1983 r. TKZ w FAT razem z TKZ w Hutmenie, Fadromie i Zakładach Elektronicznych „Elwro” utworzyły Tajną Międzyzakładową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność” Grabiszynek, tj. strukturę pośrednią między RKS a TKZ. Jej organem prasowym było pismo „Victoria”.

Autor jest pracownikiem wrocławskiego oddziału IPN

Archimedes w latach 80. należał do grupy najważniejszych zakładów we Wrocławiu. W dniach 14–15 grudnia 1981 r. w proteście przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego zakładowa „Solidarność”, kierowana przez Mieczysława Sieradzkiego i Jana Słupickiego, zorganizowała strajk.

Początki zakładu „Archimedes” we Wrocławiu sięgają XIX w. W 1875 r. bracia Oberwath zakupili niewielki plac przy ul. Robotniczej w celu przeniesienia tam swojego zakładu z Rawicza. W latach 1923–1931 wchodził w skład concernu Linke-Hoffmann-Lauchhammer. Od 1931 fabryka nosiła nazwę Archimedes-Śląsko Saksońskie Fabryki Śrub SA. W 1945 r. w wyniku działań wojennych została zniszczona. Po zmianie granic polska administracja podjęła decyzję o odbudowie zakładu pod nazwą Śląska Fabryka Śrub – Archimedes SA, od 1950 r. – Zjednoczone Zakłady Archimedes. W latach 1963–1972 zakład został znacznie rozbudowany, a zatrudnienie wzrosło do 2400 osób. Stał się jedną z ważniejszych w mieście fabryk średniej wielkości. W 1976 r. jego nazwę ponownie zmieniono na Agromet-Archimedes Fabryka Maszyn Rolniczych.

### „Solidarność” w zakładzie 1980–1981

Archimedes był jednym z nielicznych zakładów we Wrocławiu, w którym pracownicy przerwali pracę podczas lipcowej fali strajków w 1980 r. 25 lipca 1980 r. Czesław Żygadło poinformował załogę o proteście na Lubelszczyźnie. W narzędziowni rozpoczął się strajk, do którego przyłączyli się ludzie z pozostałych wydziałów. Domagano się m.in. podwyżki płac i godnego traktowania, wysunięto też postulaty wewnątrzzakładowe. Strajk trwał dwa dni i zakończył się sukcesem. Dyrekcja zgodziła się spełnić większość postulatów. Zaspokojenie żądań pracowniczych wpłynęło na uspokojenie nastrojów. W sierpniu fala strajków ogarnęła całą Polskę. Masowy protest robotniczy zakończył się wówczas podpisaniem porozumień sierpniowych w Szczecinie i Gdańsku, na mocy których władze PRL wyraziły zgodę na tworzenie niezależnych samorządnych związków zawodowych. W Archimedesie pracę przerwano dopiero 29 sierpnia. W zakładzie zawiązał się Komitet Strajkowy, na czele którego stało Prezydium: Stanisław Brudak, Jan Czarniecki, Ryszard Foltyn, Jerzy Frycz, Leszek Gałka, Władysław Gancarzyk, Edmund Kołodziejczak, Mieczysław Sieradzki, Stanisław Sikorski, Jan Słupicki i Marek Szymański. Od początku najaktywniejszą postacią był Mieczysław Sieradzki.

Po sierpniu 1980 r. doszło do rozpadu dotychczasowej organizacji związkowej w zakładzie. We wrześniu w oparciu o osoby współtworzące Komitet Strajkowy



Jerzy Różański, exlibris 1981 r.,  
zbiory Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

utworzono NSZZ „Solidarność”, do której zapisało się 92 proc. załogi. 18 grudnia 1980 r. odbyły się wybory do Komisji Zakładowej. Przewodniczącym został Mieczysław Sieradzki. W skład 30-osobowej KZ weszli m.in.: Jan Słupicki i Jacek Wojnarski (zastępcy przewodniczącego), Stanisław Brudak, Jan Czerniecki, Józef Zębala, Tadeusz Hender, Stanisław Cieślak, Maciej Kępiński, Antoni Boksiński, Janusz Szczurek. Podstawowymi komórkami związkowymi były dwadzieścia trzy koła „S” na poszczególnych wydziałach.

Władze związkowe w latach 1980–1981 zajęły się przede wszystkim ochroną praw pracowniczych oraz realizacją postulatów załogi, dotyczących m.in. poprawy warunków socjalno-bytowych. W rozmowach z dyrekcją i zakładową komórką PZPR w kilku przypadkach udało się doprowadzić do istotnych zmian kadrowych. W Komisji Zakładowej narodził się pomysł utworzenia struktury branżowej związku, skupiającej metalowców. W październiku 1980 r. we wrocławskiej Aspie miał miejsce wojewódzki zjazd „Solidarność” z branży metalowej. Utworzono tam sekcję metalowców. Na jej czele stanął Mieczysław Sieradzki. W lutym 1981 r. również we Wrocławiu, w Dolmelu, wybrano ogólnokrajowy zarząd sekcji metalowców, w którym Sieradzki objął funkcję zastępcy przewodniczącego.

### Stan wojenny

Podpisanie przez władze porozumień sierpniowych w 1980 r. i następnie powstanie „Solidarność” w całym kraju wyzwoliło wielkie nadzieje i energię społeczną. W przeciągu kilkunastu tygodni do związku zapisało się blisko 10 milionów dorosłych obywateli. Ponadto niezależnie od robotników rolnicy powołali ogólnopolską strukturę NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych, a studenci utworzyli Niezależne Zrzeszenie Studentów. Gruntowne

zmiany następowały też w oficjalnie działających instytucjach i stowarzyszeniach. Dla władzy komunistycznej, która wszelkie ustępstwa traktowała jedynie jako manewr taktyczny, spontaniczna samoorganizacja społeczeństwa od samego początku była nie do zaakceptowania.

Postępująca w całym kraju demokratyzacja życia społecznego została ostatecznie brutalnie przerwana w nocy z 12 na 13 grudnia wprowadzeniem stanu wojennego.

### Strajk w Archimedesie

W listopadzie i grudniu 1981 r. Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność” oraz Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk wydały nowe wytyczne na wypadek ataku na związek i aresztowania liderów. Przeprowadzony miał być ogólnopolski masowy bierny strajk okupacyjny robotników w zakładach pracy. Protestami kierować miały zakładowe komitety strajkowe, a na szczeblu regionu regionalne komitety strajkowe (RKS).

W piątek, 11 grudnia 1981 r. członkowie KZ z Archimedesu: Mieczysław Sieradzki i Jan Słupicki wzięli udział w zebraniu Zarządu Regionu, na którym zostali poinformowani, że ich zakład został wyznaczony do przeprowadzenia strajku okupacyjnego w sytuacji siłowego rozprawienia się przez władze ze związkiem. W przypadku pacyfikacji strajku protest należało zawiesić i przystąpić do organizacji działalności podziemnej. Następnego dnia Sieradzki ze Słupickim zorganizowali w zakładzie zebranie przewodniczących kół wydziałowych. Przekazali im otrzymane materiały, z zaleceniem zapoznania załogi. Zadania tego przewodniczący wydziałów nie zdążyli już wykonać, gdyż w nocy stan wojenny stał się faktem.

13 grudnia 1981 r. w Zajezdni Autobusowej nr VII MPK we Wrocławiu przy ul. Grabiszyńskiej powołano Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk, na czele z przewodniczącym ZR Władysławem Frasyniukiem. RKS przeniósł się do Pafawagu i tam oraz w sąsiadującym Dolmelu stworzono główną bazę oporu w mieście. Między 13 a 18 grudnia 1981 r. w stolicy Dolnego Śląska strajkowało ponad 30 zakładów.

Zalecenia zawarte w instrukcji starano się także zrealizować w Archimedesie. Gdy w niedzielę, 13 grudnia 1981 r. Sieradzki dowiedział się o wprowadzeniu stanu wojennego, zdążył jeszcze u siebie w mieszkaniu odbyć naradę z dwoma zastępcami na temat rozpoczęcia strajku 14 grudnia. W trójkę mieli spotkać się w Archimedesie. Ostatecznie do zakładu udali się jedynie Sieradzki i Słupicki. 14 grudnia 1981 r. około godz. 6.30–7.30 w stołówce największego Wydziału TP-2 odbył się wiec załogi, dotyczący wprowadzenia stanu wojennego. Uczestniczyło w nim ok. 250 osób, zastanawiano się, czy załoga powinna zareagować organizacją strajku okupacyjnego. Zebranie otworzył przewodniczący koła „S” na tym wydziale Edmund Kołodziejczak, następnie przekazał głos przywódcom zakładowej „Solidarność”: Słupickiemu i Sieradzkiemu.

Słupicki wezwał zgromadzonych do odśpiewania hymnu, po czym oświadczył, że zgodnie z uchwałą Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” są zobowiązani do ogłoszenia strajku okupacyjnego. W podobnym tonie wypowiadał się też Sieradzki, który nawoływał do zachowania dyscypliny związkowej. W krótkiej, około 20-minutowej, dyskusji pojawiały się głosy zarówno „za”, jak i „przeciw” strajkowi. Ostatecznie sprawę rozstrzygnąć miało głosowanie jawne, przez podniesienie ręki. Z uwagi jednak na znaczny tłok i trudności z liczeniem, a także



na podnoszony przez część uczestników wiecu argument o braku reprezentatywności całej załogi, zdecydowano się na organizację tajnego referendum na wszystkich wydziałach zakładu. Głosowano na kartkach wrzucanych do urny. Pracownicy mieli zadeklarować, czy są „za”, czy „przeciw” organizacji strajku. Referenda na poszczególnych wydziałach przeprowadzili m.in.: Edmund Kołodziejczak, Stanisław Brudak, Stanisław Cieślik, Jan Czerniecki, Janusz Szczurek, Tadeusz Hender, Maciej Kępiński, Danuta Kryszczuk i Andrzej Szmer. Następnie na wydziałach liczone głosy i zapisany wynik przekazywano do KZ, niektórzy przekazali urny z niepoliczonymi głosami.

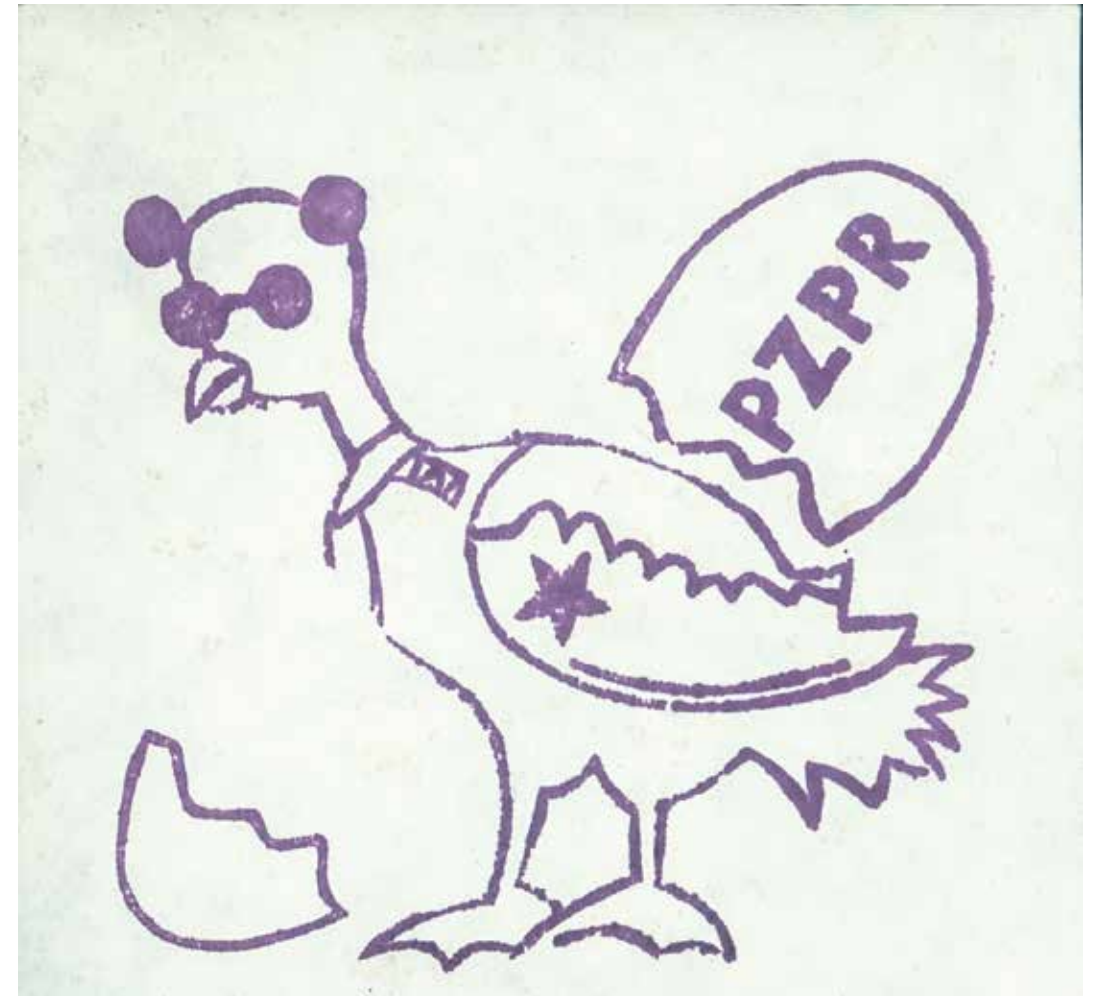
Ok. godz. 9.00 do fabryki przybył dowódca zakładowej grupy operacyjnej płk. Stanisław Rumiński i po uzyskaniu od dyrektora Leona Łeszyka informacji na temat zamiaru przeprowadzenia referendum w sprawie strajku, postanowił odbyć rozmowę z przedstawicielami KZ, oczekującymi w tym czasie na wyniki głosowania na poszczególnych wydziałach. Ostatecznie w rozmowie wzięło udział ok. 10 osób. Przedstawiciele dyrekcji starali się odwieść członków KZ od pomysłu przeprowadzenia referendum i organizacji strajku, informując, że wg przepisów stanu wojennego będzie to działalność nielegalna. Przewodniczący KZ nie przyjął tej argumentacji, oświadczając, że jako przedstawiciele związku nie mogą zawieść zaufania ludzi, przez których zostali wybrani, oraz że zostali do takiej akcji zobowiązani przez władze związkowe.

Po godz. 10.00 przystąpiono do liczenia głosów. W referendum wzięło udział blisko tysięcy pracowników, z których prawie dwa razy więcej opowiedziało się za strajkiem (ok. 630 „za” i ok. 340 „przeciw”). Jeszcze przed godz. 11.00, podczas trwania narady kierownictwa zakładu, do sali konferencyjnej wszedł Sieradzki, poinformował zebranych o wynikach referendum i ogłosił rozpoczęcie strajku okupacyjnego. Następnie wyniki głosowania zostały ogłoszone w stołówce Wydziału TP-2, na zebraniu KZ z załogą. Sieradzki poinformował o przekształceniu się KZ w Komitet Strajkowy.

Do zebranych przemawiali się także przedstawiciele dyrekcji i wojska. Łeszyk i Hagno zwracali uwagę na konsekwencje, wynikające z przepisów stanu wojennego oraz nawoływali do zachowania porządku i podjęcia pracy. Dyskusja trwała ok. 40 minut. Nie przyniosła jednak zmiany decyzji. Między 12.00 a 13.00 na Wydziałach TP-1 i TP-2 z inicjatywy dowódcy grupy operacyjnej i dyrekcji zorganizowano jeszcze dwa spotkania z załogą, mające skłonić strajkujących do przerwania protestu; również one zakończyły się niepowodzeniem. Organizację i przebieg strajku regulowała instrukcja związkowa. Zakład oflagowano, rozstawiono straż porządkową, zaczęto organizować żywność i miejsca noclegowe dla załogi. Organizowano też system łączności z rodzinami i światem zewnętrznym.

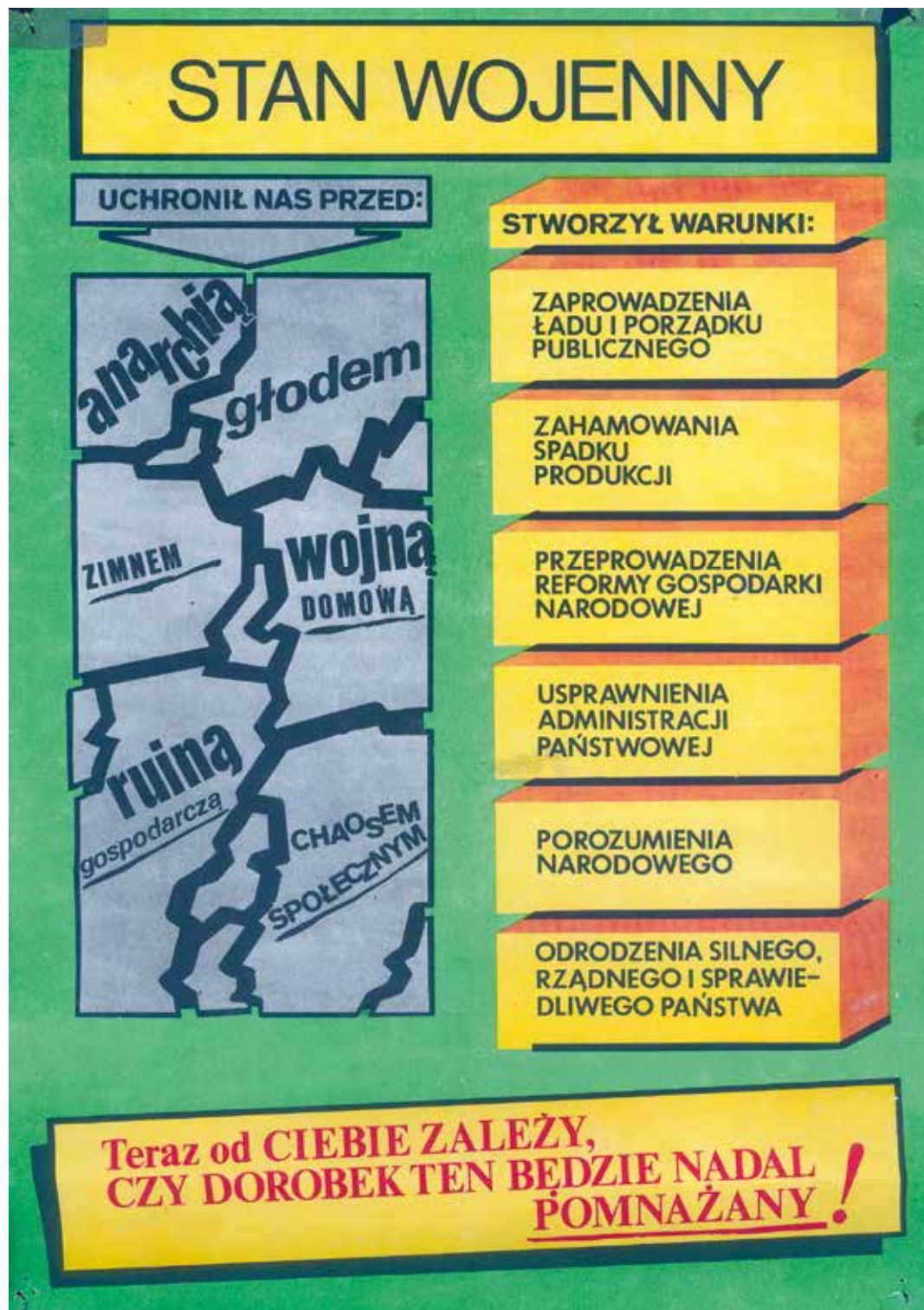
Od 14.00 do zakładu zaczęli przychodzić pracownicy II zmiany, którzy przyłączali się do strajku okupacyjnego. W nocy z 14 na 15 grudnia na terenie fabryki pozostało około 700 osób. Przed godz. 5.00 strajkujący słyszeli odgłosy pojazdów wojskowych i milicyjnych, jadących w stronę Dolmelu i Pafawagu, gdzie znajdowała się siedziba Regionalnego Komitetu Strajkowego. Wkrótce dotarła do nich informacja o pacyfikacji tych zakładów. Członkowie KS i przewodniczący kół odbyli zebranie na temat organizacji dalszego oporu. Niektórzy wypowiadali się za przerwaniem strajku. Podjęcie decyzji odłożono w czasie i uzależniono od konsultacji z wydziałami.

Tymczasem około godziny 7.45 przybył do Archimedesu dowódca grupy operacyjnej, który podczas rozmowy z Sieradzkim i Słupickim wezwał „Solidarność” do zakończenia protestu. Przywódcy związkowi przerwanie strajku uzależnili



Ulotka. Karykatura Wojciecha Jaruzelskiego 1982 r., zbiory Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

od odwołania stanu wojennego, natychmiastowego zwolnienia internowanych oraz przystąpienia do negocjacji rządu z NSZZ „Solidarność”. Wobec stanowczej deklaracji dowódcy grupy operacyjnej powiedzieli, że nieprzerwanie strajku skutkować będzie pacyfikacją zakładu, Sieradzki decyzję o przerwaniu protestu uzależnił od konsultacji z załogą. Żądał też gwarancji bezpieczeństwa dla siebie i pozostałych członków Komitetu Strajkowego. Ostatecznie związkowcy otrzymali pięć minut na podjęcie decyzji. Ponieważ w tak krótkim czasie niemożliwa była konsultacja z załogą, samodzielnie zdecydowali o przerwaniu strajku. Mimo to ok. godz. 8.00 na teren zakładu wjechało około dwudziestu czołgów. Sieradzki ze Słupickim udali się do dyrekcji. Następnie Słupicki wraz z dyrektorem Hagną poszli na wydział TP-2 przekazać pracownikom komunikat o zakończeniu strajku. Sieradzki zaś zwrócił się do Łeszyka z prośbą o zgodę na wykorzystanie zakładowego radiowęzła do przekazania informacji o zakończeniu protestu. O godz. 8.45 Sieradzki i Słupicki w obecności dowódcy pododdziałów MO Stanisława Boksy złożyli na piśmie oświadczenie o rozwiązaniu Komitetu Strajkowego i podjęciu decyzji o zakończeniu strajku. Przywódcy protestu uzyskali, że ze względu na dobrowolne jego przerwanie, protestujący nie będą represjonowani.



Stan wojenny uchronił nas przed..., Wydział Ideologiczny PZPR, 1982 r., zbiory Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

## Represje

Pomimo deklaracji o braku represji przedstawiciele Komitetu Strajkowego w Archimedesie odpowiedzieli przed sądem za organizację strajku. 7 stycznia 1982 r. zatrzymany został Mieczysław Sieradzki, a dzień później Jan Słupicki. 9 stycznia Prokuratura Rejonowa dla dzielnicy Wrocław-Śródmieście we Wrocławiu wszczęła śledztwo w trybie doraźnym w sprawie nieodstąpienia od działalności związkowej w NSZZ „Solidarność” oraz zorganizowania i kierowania strajkiem w Fabryce Maszyn Rolniczych „Agromet-Pilmet” w dniach 14–15 grudnia 1981 r. i popełnienia przestępstw wymienionych w art. 46 ust. 1 i 2 dekretu o stanie wojennym. Straty poniesione przez zakład w wyniku strajku wyceniono na 10 mln zł. Sieradzki i Słupicki zostali tymczasowo aresztowani. Areszt wobec nich uchylono 25 stycznia 1982 r., a tryb procesu zmieniono na zwykły. Dalsze wyjaśnienia mogli składać z wolnej stopy. Poręczenie za działaczy związkowych złożyli m.in. dyrektor naczelny Leon Łeszyk i I sekretarz POP PZPR Radzisław Rajewski. W kolejnych tygodniach wydłużała się lista uczestników strajku objętych oskarżeniem. Ostatecznie 13 osób zostało skazanych przez Sąd Rejonowy Wrocław-Fabryczna w procesie I instancji. Wyrok zapadł 21 września 1982 r. Mieczysława Sieradzkiego i Jana Słupickiego skazano na rok i trzy miesiące pozbawienia wolności w zawieszeniu na pięć lat. Edmund Kołodziejczak, Stanisław Brudak, Jan Czerniecki, Józef Zębała, Tadeusz Hender, Mieczysław Urbański, Zbigniew Knedler, Andrzej Szmer i Maciej Kępiński zostali skazani na dziewięć miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata. Danutę Kryszczuk i Stanisława Cieślaka skazano na trzy miesiące pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata. Dwunastka skazanych (z wyjątkiem Andrzeja Szmera) postanowiła złożyć odwołanie od decyzji Sądu Rejonowego. 9 lutego 1983 r. Sąd Wojewódzki we Wrocławiu wydał wyrok podtrzymujący karę orzeczoną w pierwszej instancji.

Poza procesem organizatorów strajku przeciwko stanowi wojennemu, członków „Solidarności” w Archimedesie dotknęły także internowania. Tej formy represji doświadczyli m.in.: Jan Czerniecki, Andrzej Furmanek, Marek Kępiński, Edmund Kołodziejczak, Adam Konieczny, Mirosław Kopeć, Kazimierz Najdek, Mieczysław Sieradzki, Stanisław Skotny i Stanisław Skowroński.

## Podziemie

Stan wojenny nie przerwał działalności „Solidarności” w Archimedesie. Od stycznia 1982 r. funkcjonowała tam Tajna Komisja Zakładowa. Ważną rolę w podziemiu (zwłaszcza do internowania w listopadzie 1982 r.) odgrywał Mieczysław Sieradzki, związany z Regionalnym Komitetem Strajkowym. TKZ działająca do 1989 skupiała się przede wszystkim na podtrzymywaniu oporu: malowaniu hasła antykomunistycznych na terenie zakładu, kolportażu podziemnych wydawnictw, wywieszaniu flagi „S” (na kominie zakładowej kotłowni), zbieraniu składki, organizowaniu pomocy dla internowanych i ich rodzin itp.

Od 1983 r. TKZ w Archimedesie wchodziła w skład istniejącej w ramach RKS Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej Zachód wraz z zakładami: Pafawag, Dolmel, Fadroma oraz Instytutem Aparatury Systemów Energetycznych. W latach 1985–1989 struktura ta wydawała pismo podziemne „Robotnik Wrocławski”, kolportowane na terenie zakładów pracy.

Aleksander Srebrakowski

## Obrazki z wojny jaruzelsko-polskiej

**Na przełomie lat 80. i 90. przeprowadziłem wiele wywiadów ze świadkami historii w ramach Archiwum Wschodniego. Później korzystałem w swojej pracy z tak zwanych źródeł wywołanych, nagrywając wspomnienia świadków historii, jednak jako osoba wspominająca występuję po raz pierwszy.**

W 1981 roku los pchnął mnie na dziewięć miesięcy do Dolnośląskich Zakładów Wytwórczych Maszyn Elektrycznych „Dolmel”. Ukończyłem właśnie technikum elektryczne, więc przynajmniej teoretycznie byłem fachowcem, jakiego mogła potrzebować fabryka. Co więcej, znałem już ten zakład z praktyk szkolnych. Ponieważ nie wiązałem z tym miejscem większych nadziei, a posadę traktowałem tymczasowo, zostałem robotnikiem uzwajaczem na wydziale W-1b. Głównym bodźcem do podjęcia tej pracy była chęć otrzymywania odpowiednich kartek zaopatrzeniowych (w zależności od miejsca pracy można było kupować więcej lub mniej towarów), które obowiązywały w kraju od lutego 1981 r.

Wrzesień 1981 r. to był już czas coraz bardziej gorący politycznie, jednak jeszcze nikt nie brał poważnie pod uwagę scenariusza, jaki zaserwowały nam władze 13 grudnia. Przychodząc do zakładu, spotkałem wielu miłych i przyjaznych ludzi. Na uzwajalni oprócz kobiet pracowało kilku moich rówieśników, z którymi szybko stworzyliśmy dobrą paczkę towarzyską. Koledzy: Czesiek, Darek, Jacek i Andrzej uczyli się w technikum wieczorowym, ja i kolega Marcin byliśmy już maturzystami, którzy czekali na kolejne egzaminy na studia (ja na historię, Marcin do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych). Z kolei spośród pań jedna okazała się mamą kolegi z podwórka (mieszkałem kiedyś obok hotelu robotniczego Dolmelu przy Alei Pracy), zaś pani Marta od samego początku matkowała nam, młodziankom. Wśród innych pracowników też znalazło się sporo osób znanych mi z lat dziecinnych, spędzonych na Grabiszynku. Nie było więc żadnego problemu z adaptacją w miejscu pracy. Co więcej, większość pracowników łączyła także przynależność do „Solidarności”. Także my, młodzi, zaraz po zatrudnieniu szybko zapisaliśmy się do związku. Chcieliśmy być częścią organizacji, która dawała nadzieję i była już okryta chwałą walki z systemem komunistycznym. Kiedy podpisywałem deklarację przystąpienia do „Solidarności”, przewodniczący organizacji zakładowej obiecywał, że już niedługo zostaną dostarczone legitymacje potwierdzające przystąpienie do związku. Jak się później okazało, w wyniku gwałtownie zmieniającej się sytuacji politycznej, nigdy do nas nie dotarły. Nie mam więc pamiętki z tamtych czasów, która by pozwoliła przypomnieć sobie dokładną datę wstąpienia do legendarnej organizacji.

Oczywiście nie wszyscy w Dolmelu należeli do „Solidarności”. Byli aktywni PZPR-owcy i członkowie ZSMP, stojący po stronie ówczesnej władzy. Jednak, przynajmniej w moim wydziale, w czasie próby po 13 grudnia nie donosili do władz. Charakterystycznym przykładem było młode małżeństwo. Kiedy większość strajkowała, oni nadal pracowali. Nigdy jednak nie donieśli na nikogo, kto bardziej angażował się w działalność podziemną po 13 grudnia. Mało tego, w oficjalnych i nieoficjalnych dyskusjach potrafili bez zacierzenia słuchać naszych argumentów i sami dowodzić swoich racji. Różnica poglądów nie przeszkadzała nam żyć w dobrej komitywie, a nawet w przyjaźni. Do momentu wprowadzenia stanu wojennego w fabryce panował spokój. Oczywiście w miarę wzrostu napięcia między władzami państwowymi a związkiem, szczególnie po zjeździe „Solidarności”, zaczęto prowadzić działania, mające przygotować załogę na ewentualne rozwiązanie siłowe ze strony władzy. Nie pamiętam dokładnie dnia, ale niedługo przed 13 grudnia zrobiono w zakładzie referendum na temat ewentualnego przystąpienia do strajku generalnego. Większość załogi opowiedziała się wtedy za strajkiem.

Niedziela, 13 grudnia 1981 roku była dla nas wszystkich wielkim zaskoczeniem. Tego dnia wstałem później, nieco zmęczony obchodami imienin, które miałem dnia poprzedniego. Po przebudzeniu wszystko wyglądało tak samo jak zawsze. Idąc do łazienki, zwróciłem jedynie uwagę na ojca manipulującego przy telewizorze, który nie odbierał żadnego sygnału. W tym też nie było nic niezwykłego, gdyż ojciec zawsze wszystko w domu naprawiał, a sam telewizor też często patał niemiłe niespodzianki. Kiedy w łazience myłem zęby, usłyszałem, że telewizor zaczął działać, a z głośnika zaczęły dobiegać słowa gen. Jaruzelskiego. Gdy dotarło do mnie, że mówi o wprowadzeniu stanu wojennego, nie wiem jak, trzymana przeze mnie szcotełka do zębów nagle połamała się na trzy części. Wiadomość była dla nas szokiem. Nie pociągało to za sobą jakiejś paniki, czuliśmy raczej bezradność. Po pierwszym szoku nastąpiło jednak zbieranie i wymiana informacji, dzięki czemu można było się przygotować do nowej sytuacji. Następnego dnia, w poniedziałek, wszyscy wyszliśmy do pracy. Jadąc do Dolmelu, nie widziałem po drodze, znanych z fragmentów filmów dokumentalnych lub archiwalnych zdjęć, zmarzniętych żołnierzy przy koksownikach, czołgów czy wozów pancernych. Dopiero pod zakładem pracy pojawiły się te obrazy. Po dotarciu na swój wydział wszyscy zebraliśmy się na wiecu, gdzie ustalono plan działania. Ponieważ już wcześniej zdecydowaliśmy w referendum, że w takiej sytuacji przystępujemy do strajku, do ustalenia pozostało, jaką on ma mieć formę. W pierwszym rządzie stwierdzono, że wszystkie kobiety powinny wrócić do domu. Tak samo wszystkie osoby, które nie popierały pomysłu. Natomiast wszyscy pozostali mężczyźni mieli przystąpić do strajku okupacyjnego. Ponieważ sprawa była poważna, uczestnicy mogli się udać do domu, aby zawiadomić rodzinę i wziąć ze sobą rzeczy potrzebne, by lepiej przetrwać czas strajku.

Tak jak koledzy postanowiłem strajkować. Skorzystałem też z możliwości wyjścia do domu, wziąłem ciepłą bieliznę, aby nie marznąć w nocy, także trochę kanapek i wróciłem do zakładu. Kiedy ustalili się ostateczny skład strajkujących, zamknięto halę, podobnie jak pozostałe na terenie fabryki, i wyznaczono ludziom zadania. Wybrano łączników, którzy poruszali się między halami, wyznaczono warty, stworzono też coś w rodzaju straży czy też ochrony strajkowej.

Teraz pozostało czekanie. Wojsko i milicja zgrupowane przed fabryką przez pierwsze godziny pozostawały bezczynne. Dzięki łącznikom wiedzieliśmy, co się dzieje na terenie Dolmelu i w innych zakładach w mieście. Docierały także wiadomości od studentów, którzy podjęli w tym czasie akcję wspierającą robotników. Wiadomości przekazywano uczestnikom strajku na bieżąco. Do wieczora panował względny spokój. Dopiero po zapadnięciu zmroku, co w grudniu następuje szybko, zaczęły napływać informacje o próbach pacyfikacji wrocławskich zakładów. Hala wydziału W-1b znajdowała się w głębi kompleksu zabudowań fabrycznych, więc w wypadku pacyfikacji nie było to pierwsze miejsce, gdzie mogli uderzyć szturmujący. Mimo to napięcie wciąż rosło. Informacje, jakie do nas docierały, działały na wyobraźnię, która tworzy obrazy bardziej dramatyczne niż te widziane w rzeczywistości. Jak się jednak okazało, hala W-1b była miejscem bezpiecznym, które ostatecznie uniknęło pacyfikacji. W przeciwieństwie do hali W-1a, znajdującej się tuż przy głównym wejściu do fabryki. To koledzy zebrani w tym miejscu doświadczyli nocnego szturm wojska i ZOMO. Oni też zostali wywleczeni z zakładu i przetransportowani do aresztu.

W trakcie szturm na Dolmel doszło też do incydentu, który później zaczęliśmy traktować żartobliwie. Otóż przed zakładem był zaparkowany samochód (fiat 126p) jednego z pracowników. W trakcie szturm został on zmiżdżony przez wojskowy transporter lub czołg. Wrak pojazdu stał przed zakładem kilka dni jako „pamiątka” pacyfikacji. Jednak po pewnym czasie, po ustabilizowaniu się sytuacji w kraju, w zakładowym radiowęźle podano informację, że władze państwowe odkupiły pracownikowi zniszczony pojazd. Czyli przynajmniej jedna osoba we Wrocławiu zyskała na wydarzeniach z nocy 14/15 grudnia 1981 r. Większość zapłaciła jednak za strajk różnymi karami, a nawet więzieniem.

Pacyfikacja Dolmelu zakończyła się w scenarii niemal bajkowej. Kiedy wstał świt, zapał pierwszy kur, siły zła wycofały się. Straty poniesione w czasie pacyfikacji spowodowały zawieszenie strajku i w następnych dniach powrócono do pracy. Władze, aby zapewnić sobie na przyszłość lepszą kontrolę nad zakładem i utrudnić organizowanie kolejnych strajków, zmilitaryzowały Dolmel. Od tego momentu już nie pracowaliśmy, lecz pełniliśmy służbę, tak jak w wojsku, o czym przypominał nam komisarz wojskowy. Przy tej okazji rozsiewano plotki, że teraz za przystąpienie do strajku może grozić nawet kara śmierci, bo to jest to samo, co zdrada podczas wojny. W praktyce oczywiście nic takiego nie robiono, jednak początkowo niektórzy byli skłonni w to uwierzyć, szczególnie po zbrodni w kopalni „Wujek”. Mimo obaw w zakładzie systematycznie organizowano kolejne strajki, ale już nie okupacyjne, lecz w postaci wieców. Ta forma protestu nie była jednak korzystna dla „Solidarności”, gdyż często aresztowano najbardziej aktywnych uczestników wieców, co pozbawiało związek kolejnych liderów. Wymyślono więc nową formułę. Tym razem ustalano czas, w którym wszyscy przerywali pracę na pół godziny. W takiej sytuacji trudno było znaleźć liderów, kolejnych kandydatów do aresztowania. Taki właśnie strajk odbył się w Dolmelu w piątek, 29 stycznia 1982 r. Większość z nas przerwała wtedy pracę, a komisarz wojskowy, razem z kierownikami i nieznanymi nam panami biegali po hali i wypytywali pracowników, czemu nie pracują. W odpowiedzi słyszeli: „piję wodę”, „palę papierosa” lub inne podobnie krótkie zdania. Po upływie 30 minut wszyscy powrócili do pracy. Tego dnia, wychodząc z kolegami z pracy, żartowaliśmy, że spotkamy się wieczorem w areszcie. Następnego dnia rano, idąc na swoje stanowisko pracy, zdziwiłem się, że na hali jest jakoś pustawo.

Czyżby jakaś awaria transportu i ludzie się spóźnili? Otóż nie, okazało się, że rzeczywiście w nocy aresztowano wielu naszych pracowników.

Kiedy byłem już na stanowisku, przyszedł do mnie mistrz i powiedział, że jestem zwolniony dyscyplinarnie. Nie wydał mi jednak polecenia, że mam się gdzie zgłosić, więc przystąpiłem do pracy. Po około dwóch godzinach zobaczyłem jednego z kierowników i postanowiłem się dowiedzieć, czy prawdą jest to, co mówił mistrz. Ponieważ kierownik był daleko ode mnie i nie reagował na moje gesty, ruszyłem w jego kierunku lekkim truchtem. Gdy to zobaczył, zaczął szybko uciekać do biura. Zostawiłem więc sprawę i wróciłem do pracy. Po skończonej zmianie dostałem informację, że mam się zgłosić do kadr, a tam otrzymałem zwolnienie. Bardzo mi było żal pracowników tego biura, które wystraszone błagały, aby nie robić żadnej awantury, bo one nie są niczemu winne, jedynie przekazują decyzję kierownictwa. Jako ciekawostkę podam, że otrzymałem tego dnia dokument o rozwiązaniu umowy o pracę oraz drugi o zwolnieniu ze służby w przedsiębiorstwie. Najśmieszniejsze w tej historii jest to, że w poniedziałek, kiedy wróciłem do zakładu po pozostawione rzeczy, zostałem przywrócony do pracy. Otóż z piątku na sobotę po naszym strajku aresztowano zbyt wiele osób i okazało się, że brakuje robotników, a plan trzeba było wykonać. Dlatego zaczęto ponownie zatrudniać zwolnionych. Ponoć w tym czasie właściwie zaciągnięto do pracy w Dolmelu także jednego z pracowników, który sam zwolnił się niedawno z tej fabryki i zatrudnił w prywatnym warsztacie, gdzie otrzymywał lepsze honorarium. Tę informację należałoby jednak dokładnie sprawdzić, bo może być to jedynie plotka. Faktem jednak jest to, że w tamtym czasie władze państwowe traktowały swoich obywateli instrumentalnie.

Kiedy Dolmel został zmilitaryzowany, dokonano szeregu zmian w strukturze zatrudnienia. Między innymi zwiększono liczbę strażników przemysłowych. Nie odbyło się to jednak poprzez zatrudnienie nowych osób, ale przez przesunięcia etatów wewnątrz fabryki. W ten sposób na przykład wózkarze (przynajmniej ich część) stali się teraz strażnikami. Mieli spełniać rolę swoistej żandarmerii w zmilitaryzowanym zakładzie. Większość osób tak potraktowana wykonywała swoje nowe obowiązki bez specjalnego zaangażowania i starała się nie utrudniać ludziom życia. Na W-1b był jednak jeden człowiek, któremu wprowadzona zmiana wyraźnie przypadła do gustu. Na nowym stanowisku wykazywał się wybitną gorliwością, a nawet przejawiał własną inicjatywę. Między innymi pewnego razu na nocnej zmianie sam namówił kilka osób, aby napiły się z nim wódki, a następnie, już po konsumpcji, zadzwonił na dyżurkę straży przemysłowej z donosem na swoich kompanów. Jak widać, nie wszyscy w kryzysowej sytuacji potrafili się zachować godnie, w niektórych przypadkach ujawniały się skrzętnie ukrywane wcześniej aberracje. Trzeba jednak zaznaczyć, że większość ludzi, z którymi miałem do czynienia w Dolmelu, w trudnym okresie stanu wojennego zachowywała się godnie.

Paweł Miedziński

## Centralna Agencja Fotograficzna wobec stanu wojennego

**W powojennym systemie medialnym fotografia prasowa była wysoce zinstytucjonalizowana. Od 1951 r. funkcjonowała Centralna Agencja Fotograficzna (CAF), której rolą było dostarczanie serwisu fotograficznego do wszystkich dzienników i tygodników wydawanych w Polsce.**

W redakcjach poszczególnych pism pracowali fotoreporterzy, do których należało uzupełnianie treści płynących z Warszawy o lokalne wydarzenia. CAF była też absolutną monopolistką w kwestii zdjęć nadsyłanych z zagranicy (i tam wysyłanych). Zdjęcia, wysyłane do prasy z Agencji, przechodziły wieloetapową kontrolę, stąd też gdy dana redakcja je otrzymywała, mogła być pewna ich politycznej poprawności. Dla CAF pracowało kilkudziesięciu fotoreporterów w stolicy i poza nią. Każdego dnia obsługiwali fotograficznie najwyższe „kierownictwo partyjno-państwowe”, dokumentowali „gospodarcze zdobycze socjalizmu”, ale także wydarzenia zupełnie niepolityczne – zawody sportowe, imprezy kulturalne etc. Tak zwani terenowi fotoreporterzy Agencji nie byli w żaden sposób związani z lokalnymi redakcjami gazet, choć często na przykład dzielili ten sam lokal, a bywało, że ich zdjęcia były publikowane w tytułach ukazujących się na ich terenie, obejmującym zwykle obszar kilku województw. Wynikało to z faktu, że zarówno Agencja, jak i praktycznie cała prasa należały do jednego koncernu – Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa”. Fakt „centralnego podporządkowania” fotoreporterów Agencji miał swoje szczególne skutki w chwili, gdy dochodziło do politycznych kryzysów, jakich nie brakowało w dziejach Polski Ludowej.

13 grudnia 1981 r. dziennikarze, w tym fotoreporterzy, zostali zaskoczeni przez wojskowych w równym stopniu co reszta społeczeństwa. Jednak niezwykłość i dramatyczność tego zdarzenia wymagały od nich – w przeciwieństwie do przedstawicieli innych zawodów – działania. O ile „dziennikarze piszący” mogli robić notatki w domowym zaciszu, fotoreporterzy musieli być w miejscach, gdzie „działa się historia”. I tu stawali przed poważnym dylematem, gdyż jeden z przepisów dotyczących wprowadzonego „stanu wojennego” – pojęcia niedookreślonego w Konstytucji PRL ani w aktach wykonawczych – dawał możliwość wprowadzenia zakazu wykonywania zdjęć<sup>1</sup>. W odróżnieniu od prawie wszystkich redakcji, których działanie zostało zawieszono bezterminowo, CAF nie tylko nie została unieruchomiona, ale wręcz na nią – oraz na Wojskową Agencję Fotograficzną

<sup>1</sup> Dekret z dnia 12 grudnia 1981 r. o stanie wojennym, Dz.U. 1981 nr 29 poz. 154, art. 20.



Oryginalny podpis brzmiał: „Patrole wojskowe i ORMO, woj. rzeszowskie”. Fot. Andrzej Łokaj. Grudzień 1981 r. / zbiory Polskiej Agencji Prasowej

(WAF) – spadł „ciężar” dokumentacji fotograficznej. Agencja miała dostarczać zdjęcia, których nie miał kto odebrać ani gdzie opublikować. Dotychczasowe tytuły zostały zastąpione szkieletowymi pismami bardziej przypominającymi okolicznościowe pisemka aniżeli codzienną prasę. Ograniczenia techniczne pozbawiały je możliwości reprodukcji zdjęć. „Trybuna Ludu” – oficjalna gazeta codzienna rządzącej partii, której wydawanie pozostawało niezmienione – w początkowym okresie stanu wojennego korzystała wyłącznie ze zdjęć własnego fotoreportera oraz nade wszystko pochodzących z WAF. Dziennik „Żołnierz Wolności” co do zasady korzystał z owoców pracy wojskowej agencji.

Dla CAF, pracującej praktycznie całą dobę, wprowadzenie godziny policyjnej, zawieszenie komunikacji – zarówno telefonicznej, jak i drogowej, oznaczało paraliż. Co ciekawe, przerywając łączność telefoniczną, zapomniano, iż Agencja posiada stałe łącza do przesyłu fotografii za granicę – tak zwane telefoto. Zostało ono wyłączone dopiero po kilku dniach. Redaktor naczelny Agencji Michał Gardowski, dotychczas mający „gorące łącze z KC PZPR”, z trudem skontaktował się z szefem WAF, z którym ustalał plany działania. Jak wynika ze wspomnień M.F. Rakowskiego, przygotowujący wojskowy przewrót podjęli decyzję w sprawie funkcjonowania mediów, w tym Agencji, dopiero 11 grudnia. A zatem czasu na wypracowanie szczegółów w zasadzie nie było. W CAF przyjęto postawę wyczekującą. Tymczasem wydarzenia toczyły się lawinowo. Stan wojenny był bowiem w istocie rodzajem „daru niebios” dla dziennikarzy, którzy pisać bądź fotografować chcieli. To w pierwszych dniach „walki z narodem” powstały ikoniczne zdjęcia, jak choćby „Czas Apokalipsy” Chrisa Niedenthala.



„Zajścia uliczne w Warszawie”.  
Fot. Damazy Kwiatkowski.  
31 sierpnia 1982 r. / zbiory Polskiej  
Agencji Prasowej

Niektórzy fotoreporterzy pochowali aparaty do szafy z własnej woli, innym to nakazano, a jeszcze inni fotografowali. Do tych ostatnich należał na przykład Jerzy Undro ze szczecińskiego oddziału, który dokumentował rocznicową mszę świętą, zorganizowaną 17 grudnia na terenie niewiele wcześniej spacyfikowanej stoczni „Warskiego”. Na jego zdjęciach znalazły się klasyczne obrazy stanu wojennego – żołnierze z bronią długą, czołgi, drut kolczasty etc.

Jak wspominał Gradowski: „Nikt nam nie kazał nie pracować. Spokojnie robiliśmy, nie rzucając się w oczy. Kazałem dawać wszystko do II archiwum. Wiedziałem, że to kiedyś będzie bardzo potrzebne”. Archiwum II, zwane też „B”, było w istocie szafą pancerną w jego gabinecie. Trafiały tam wszystkie te zdjęcia, o których wiedzano, że nie otrzymałyby zgody Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk na publikację. Nie otrzymałyby zgody w danych warunkach, co nie oznaczało, że ta nie zostałaby udzielona za rok, pięć lub dwadzieścia. Doświadczenie uczyło, że kryteria oceny, czy zdjęcie spełnia wymagania, czy też nie, były płynne i zmienne w czasie. Nie dalej jak dwa dni przed wprowadzeniem stanu wojennego z okazji XXX-lecia Agencji z wielką pompą otworzono wystawę, na którą trafiły m.in. zdjęcia wcześniej skazane na niebyt – fotografie z Czerwca’56 czy Grudnia’70. Ta dość odważna ekspozycja miała niewiele widzów. Jeden z nich okazał się szczególnie wpływowym. Mowa o nadzorującym peerelowskie media Stefanie Olszowskim. Nie przypadła mu ona do gustu. Jednak nowe porządki wprowadzone po 13 grudnia były ważniejsze niż wystawa, którą szybko zdemontowano. Po raz kolejny – już na stałe – otwarto archiwum II w 1990 r.

Po pewnym czasie fotoreporterzy otrzymali formalne zezwolenia na wykonywanie swojej pracy, tzw. urbanówki – od nazwiska rzecznika rządu Jerzego Urbana. Jedne z pierwszych zdjęć wykonał Wojciech Frelek. Przedstawiały one posterunek kontrolny przy którymś z warszawskich mostów. To były zdjęcia wykonywane oficjalnie. Inni fotografowali niejako z ukrycia. Marek Langda robił zdjęcia przez okno jadącego samochodu, stąd wiele z nich jest nieostrych i źle wykadrowanych. Nieco później Langda już na spokojnie dokumentował akcję ORMO pod kryptonimem, *nomen omen*, „Spokój”.

Istotną zmianą w pracy Agencji stało się wydłużenie czasu, jaki zajmowało dotarcie zdjęcia do czytelnika. A przecież istotą fotografii agencyjnej od zawsze była jej aktualność. Na przykład fotografie wykonane najpóźniej 14 lutego 1982 r. zostały przekazane do redakcji gazet dopiero 1 marca. Wynikało to z nasilenia nadzoru cenzorskiego.

Podobnie jak w innych redakcjach, w CAF nastąpiła weryfikacja pracowników. Jednak, w odróżnieniu od innych mediów, tylko jedna osoba jej nie przeszła. Jak wspominała pewna redaktorka: „Człowiek ten przyszedł, powiedział, co o tym myśli i wyszedł”. Do otrzymania „urbanówek” praca w Agencji ograniczała się do... sprzątania. Znalazł się czas, którego wcześniej zawsze brakowało, na opisanie zasobów, inwentaryzację etc. Na korytarzach pojawił się także komisarz wojskowy. Był to jeden z administracyjnych pracowników Agencji. Do pracy przychodził w mundurze z dystynkcjami porucznika. Jak wspominała jedna z laborantek: „Tego komisarza w ogóle się nie widziało. Siedział w jakimś gabinecie i tyle. Niedaleko był sklep. Gdy padło hasło, że pojawiły się jajka, to ludzie pracę rzucali i lecieli kupić jajka. Jajka były ważniejsze niż jakiś komisarz”. Według niektórych Gradowski zachował się przyzwoicie w trakcie weryfikacji, broniąc pracowników przed dokonującym lustracji kadr w Agencji generałem Wojciechem Barańskim. Faktem jest też, że w okresie karnawału „Solidarności” nikt do „S” się nie zapisał, a w CAF nie powstała żadna związkowa komórka. Z kolei lokalnych fotoreporterów rozsianych po całej Polsce lustrowano „na miejscu”. Undro wspominał: „Byłem jednym z ostatnich szczecińskich dziennikarzy [poddanych weryfikacji – przyp. PM]. Nie wiedziano, co ze mną zrobić, bo nie byłem związany z żadną lokalną redakcją a CAF. W zasadzie nie mieli do mnie pytań. Jedyłą uwagą było, że rzadko bywam na uroczystościach rocznicy Rewolucji Październikowej. Na co ja powiedziałem, że nie było takiego zapotrzebowania z centrali. Jak co, to ja zwałem na centralę”.

Wykonanie fotografii nie równało się jej publikacji. Pierwsze zdjęcie autorstwa fotoreportera z CAF opublikowano dopiero 4 stycznia 1982 r. Zrobił je Michał Gawałkiewicz. Przedstawiało ciężarówkę wiozącą „transport żywności i innych artykułów pierwszej potrzeby” z Wschodnich Niemiec. Zostało zamieszczone w „Trybunie Ludu”. Zgodnie z wytycznymi Wydziału Prasy KC PZPR, w kolejnych dniach zaroilo się w prasie od zdjęć „ludzi pracy”. Choć robiły je różne osoby w różnych miejscach, wykonały je według tego samego schematu – „człowiek i maszyna”. Wydzźwięk tych zdjęć był jasny: w kraju nie ma strajków, postępuje normalizacja, stan wojenny służy „zwykłym ludziom”.

Dla gdańskiego przedstawiciela Agencji Stefana Kraszewskiego jeden z ważniejszych tematów stanowił od jesieni 1980 r. Lech Wałęsa. Po jego internowaniu zainteresowanie nim bynajmniej nie zmalało. Każde wydarzenie mogło stać się polityczną manifestacją – w tym *stricte* rodzinne jak chrzest córki. Fotografowanie Wałęsy z ramienia CAF to działanie całkowicie wbrew oficjalnej propagandzie władz, która z lidera wielkiego ruchu społecznego chciała

uczynić „zwykłego obywatela”. Jednak w grę wchodził już wówczas inny istotny paradygmat – dolary. CAF, od wielu lat pozostająca w relacjach biznesowych ze światowymi agencjami – Associated Press czy Reuters – po prostu sprzedawała im zdjęcia za „twardą walutę”, z zastrzeżeniem, by nie podpisywać autora i nie podawać pochodzenia zdjęcia. Dotyczyło to nie tylko zdjęć Wałęsy (ten przez dłuższy czas pozostawał w przymusowym odosobnieniu), ale także scen przedstawiających walki uliczne. Moment zwolnienia Wałęsy z Arłamowa został szeroko sfotografowany przez Ireneusza Radkiewicza, specjalnie w tym celu wydelegowanego wraz z ekipą telewizji. Sam bohater chętnie współpracował i niczym na sesji w studio pozował w różnych ujęciach.

Gdy władza – na przykład poprzez MSW – uznawała, że zachodzi taka potrzeba, fotoreporterzy działali zgodnie z jej instrukcjami, wykonując na przykład dokumentację związaną z zabójstwem sierżanta milicji Zdzisława Karosa. Fotoreporterzy byli też wzywani do sfotografowania „dokumentów znalezionych w miejscu ukrywania się Józefa Pinióra” (Adam Hawałej z Wrocławia), „akcji balonowej »Solidarności«” (Jerzy Undro ze Szczecina) czy „nielegalnej radiostacji” (Stefan Kraszewski z Gdańska). Tymi kadrami władza chwaliła się – poprzez prasę – bardzo chętnie, paradoksalnie działając na swoją niekorzyść, bo pokazywano, że opór nadal trwa. Zupełnie odmienna sytuacja dotyczyła informowania o zabitych w wyniku konfrontacji z milicją. Przykładem mogła być śmierć Bogdana Włosika, elektryka z Huty im. Lenina. Został zastrzelony z pistoletu przez funkcjonariusza SB w trakcie demonstracji. O jego pogrzebie, który stał się jedną z największych manifestacji w okresie stanu wojennego, informowała kilkudziesięciu notka wydrukowana na dole drugiej strony jedynie w krakowskiej prasie. Nie zamieszczono żadnych zdjęć, mimo że takie wykonał krakowski fotoreporter CAF Maciej Sochor. Później sfotografował kolejny manifestacyjny pogrzeb – Ryszarda Smagura, który zginął w trakcie pierwszomajowych zamieszek w Nowej Hucie. W prasie nie tylko nie pojawiało się żadne zdjęcie, ale nawet najmniejsza wzmianka.

Wiosną 1982 r. konfrontacja nadal wisiała w powietrzu. Zdawali sobie z tego sprawę także fotoreporterzy. Marek Broniarek, Wojciech Frelek, Adam Hawałej, Stefan Kraszewski, Andrzej Rybczyński, Maciej Sochor, Jerzy Undro, Teodor Walczak ryzykowali, gdy fotografowali zamieszki. Inni woleli przeczornie oddalić się możliwie daleko, gdy robiło się gorąco. Jeszcze inni po prostu nie mieli okazji, by stanąć przed podjęciem takiej decyzji. Gardowski nie wydawał poleceń, żeby jego podwładni zdobyli cenne i ciekawe zdjęcia, ale też nie zabraniał im dokumentowania starć z milicją. Wolał unikać kłopotów. Fotografowanie walk z ZOMO było – nawet dla ludzi z legitymacją CAF – niebezpieczne. Ryzykowali utratą cennego sprzętu, pobiciem tak ze strony demonstrantów, jak i przez milicję lub SB. Samo zatrzymanie, choć nieprzyjemne, jednak większych konsekwencji nie niosło. W czasie demonstracji i starć 1–3 majowych 1982 r. zatrzymani zostali Adam Hawałej (we Wrocławiu), Stefan Kraszewski (w Gdańsku) i Jerzy Undro (w Szczecinie). Dwa pierwszym odebrano negatywy, Undro się postawił, zrugął funkcjonariuszy... i negatywy uratował. Hawałej fotografujący – na zlecenie Agencji – kontrmanifestację na 1 maja 1983 r. został zatrzymany przez tajniaków, zanim zdążył zrobić demonstrantom pierwsze zdjęcie. W trakcie zatrzymania został poturbowany – miał rozcięty łuk brwiowy. Po przewiezieniu do Komendy Wojewódzkiej MO przesłuchujący go oficer SB okazał się sąsiadem znanym z widzenia.



Trafiały się także momenty mniej oczywiste. Fot. Marek Broniarek. 31 sierpnia 1982 r. / zbiory Polskiej Agencji Prasowej

Spotkanie z Hawałałem wykorzystał do wybadania go pod kątem przydatności do ewentualnego werbunku. Po wypiciu kawy z oficerem Hawałałem zwolniono. Jeden z dziennikarzy Agencji tak wspominał: „Gardowski – na pewno bał się kłopotów. Musiałby dzwonić do KC, by wyciągali jego ludzi z pałacu Mostowskich [siedziby Komendy Stołecznej MO w Warszawie – przyp. PM]. Dla komendanta milicji taki naczelny CAF-u to był nikt”.

Do serwisu przeznaczony dla prasy trafiały także zdjęcia „zreprodukowane” bezpośrednio przez MSW. Były fotografie przedstawiające na przykład nielegalne drukarnie podziemnie działającej „Solidarności” lub „ekscesy uliczne”. Ich autorami byli zapewne funkcjonariusze Wydziału „B”, również zawodowo zajmujący się fotografią. Wówczas zdjęcia publikowano jedynie z podpisem „CAF”.

Zmieniły się relacje Agencji z zachodnimi partnerami. Zagranicznych odbiorców nie interesowały już więcej zdjęcia ukazujące rozwój „socjalistycznej Polski”, jakie przesyłano przez dwie dekady. Jak pisano w sprawozdaniach dla RSW „Prasa”, „Istnieje rozbieżność między ich [AP/Reuters – przyp. PM] zamówieniami a możliwością realizacji przez CAF”. Agencja musiała nauczyć się dostosowywać do brutalnych wymogów rynku. Na przykład Teodor Walczak wykonał reportaż obrazujący zwalnianych z Białołęki. Dwie trzecie klitek zostało skreślonych i skierowanych do archiwum II, a przecież zdjęcia wykonano zapewne z myślą o zachodnim odbiorcy. Jednak fotoreporter CAF był pod brzmieniem więzienia jednym z wielu, którzy wówczas wykonywali zdjęcia. Podobnie było na pogrzebie Grażyny Kuroń z udziałem jej przywiezionego z tej okazji z więzienia męża. Wieloletni monopol Agencji został złamany. „Skreślanie” klitek nie miało żadnego sensu. Zachodnia prasa nie potrzebowała już CAF. Do Polski przybywali zachodni fotoreporterzy i co ważniejsze, wielu Polaków rozpoczynało swoją zawodową przygodę z zachodnimi agencjami.

Michał Siedziako

## O włós od tragedii?

Rozbicie strajku w Stoczni Szczecińskiej  
im. Adolfa Warskiego 14/15 grudnia 1981 r.

Pogrzeb Bogdana Włosika w Nowej Hucie. Fot. Maciej Sochor. 20 października 1982 r. / zbiory Polskiej Agencji Prasowej

Wysiłki, a także czasem ryzyko, podejmowane przez fotoreporterów, nie miały większego znaczenia. Prasa i tak nie publikowała wielu ich zdjęć. W niektórych gazetach codziennych pojawiły się komentarze dotyczące zamieszek, ale nie były one ilustrowane. W niepodpisanym tekście w „Głosie Wybrzeża” komentator organu KW PZPR w Gdańsku pisał: „Próbami zakłócenia ładu i spokoju publicznego po zakończonych pochodach, podjętymi w Gdańsku i Gdyni, uzyskaliście tylko jedno: Polska znowu znajduje się na łamach światowej prasy żądnej sensacji, trafia na ekrany telewizorów jako kraj o nieustabilizowanej sytuacji politycznej. Zrobiliście swoje, bo postaraliście się o łatwy żer dla dziennikarzy zachodnich gazet i rozgłośni, którzy na 1 Maja masowo zjechali do Gdańska. Widzieliśmy ich: fotografowali skrzętnie wszystko, co działo się wczoraj na ulicach Gdańska, zwłaszcza gdy atakujące grupy obrzuciły siły porządkowe kamieniami lub bezczęściły robotnicze i narodowe flagi [...]”. Mimo że zamieszki miały miejsce w wielu miejscach w Polsce i CAF dysponowała licznymi zdjęciami, w prasie pojawiły się krótkie teksty na drugiej stronie. Okazało się przy tym, że nawet umieszczenie zdjęcia w serwisie nie gwarantowało jego druku w gazecie. Ostrożność nowo mianowanych szefów redakcji, a może także ich ideologiczna pryncypialność, były dodatkowym ogniwem nadzoru. Zdarzały się rzadkie wyjątki, jak opublikowanie zdjęcia w „Expressie Wieczornym” 2 września 1982 r., gdzie zamieszczono enigmatycznie podpisane („CAF”) zdjęcie ze starć w Warszawie. Agencja celowo nie podpisała autora, a był nim Damazy Kwiatkowski. Redakcja opisała je: „W kilku większych ośrodkach kraju doszło do zamieszek wywołanych przez agresywnie i prowokacyjnie zachowujące się grupy awanturników, głównie wyrostków i młodzieży”.

Im bliżej było do końca stanu wojennego, tym bardziej postępowała „normalizacja”. Tematów gorących politycznie było coraz mniej, coraz bardziej dokuczał kryzys ekonomiczny i szara rzeczywistość lat 80. XX w. Gdy analizuje się prasę tamtych lat, trudno dostrzec, co w ogóle drukowała – fatalna jakość farby, papieru, zużyte maszyny drukarskie – w znacznym stopniu przekreślały wysiłki dziennikarzy CAF.

Autor jest adiunktem w Instytucie Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie Uniwersytetu Szczecińskiego oraz pracownikiem Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Szczecinie.

Po 13 grudnia 1981 r. w wielu różnych zakładach pracy na terenie całej Polski wybuchły strajki przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Władze dążyły do ich jak najszybszego stłumienia. Tak było również w przypadku Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego.

W regionie zachodniopomorskim głównym punktem oporu społecznego przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego stała się Stocznia Szczecińska im. Adolfa Warskiego. 13 grudnia 1981 r. zawiązał się tam Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Na jego czele stanął wiceprzewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Pomorza Zachodniego (ZR „S” PZ) Mieczysław Ustaśiak, któremu udało się uniknąć internowania. Drugim liderem protestu (odgrywającym w nim pierwszoplanową rolę) był dotychczasowy doradca prawny stoczniowej Komisji Zakładowej „Solidarności” (KZ „S”) i władz regionalnych związku Andrzej Milczanowski. Protest udało się sprawnie zorganizować m.in. dlatego, że już kilkanaście dni przed stanem wojennym w „Warskim” trwał pogotowie strajkowe i działacze związkowi pełnili całodobowe dyżury. Nie bez znaczenia był również fakt, że wszystkie komisje zakładowe NSZZ „Solidarność” na Pomorzu Zachodnim dysponowały instrukcjami, przygotowanymi w okresie tzw. kryzysu bydgoskiego, które jasno wskazywały, jakie działania należy podjąć, gdyby zaistniała potrzeba nagłego ogłoszenia strajku.

„Warski” (jak potocznie określano Stocznnię Szczecińską) był wcześniej nieformalnym centrum ruchu solidarnościowego w regionie (abstrahując od oficjalnej siedziby Zarządu Regionu przy ul. Małopolskiej w Szczecinie), kolebką „Solidarności”, w której rozgrywały się kluczowe wydarzenia Sierpnia ’80, a wcześniej Grudnia ’70 i Stycznia ’71. 13 grudnia 1981 r. niejako naturalnie swoje kroki właśnie tam kierowali działacze „Solidarności” z samej stoczni, ale także z różnych innych szczecińskich przedsiębiorstw. Tego dnia na teren „Warskiego” przybyli m.in. Stanisław Zabłocki (stoczniowiec, przewodniczący KZ „S”), Grzegorz Durski (stoczniowiec, członek Prezydium KZ „S”) Stefan Niewiadomski (pracownik papierni „Szczecin-Skolwin”, przewodniczący KZ „S”), Krzysztof Jagielski (pracownik Polskich Linii Oceanicznych, członek Prezydium KZ „S” i ZR „S” PZ), Jan Denisewicz (pracownik Polskiej Żeglugi Morskiej w Szczecinie, przewodniczący KZ „S” i członek ZR „S” PZ), Wojciech Duklanowski (pracownik Fabryki Kontenerów „Unikon”, przewodniczący KZ „S” i członek ZR „S” PZ). W poniedziałek, 14 grudnia dołączyli z kolei m.in. Ryszard

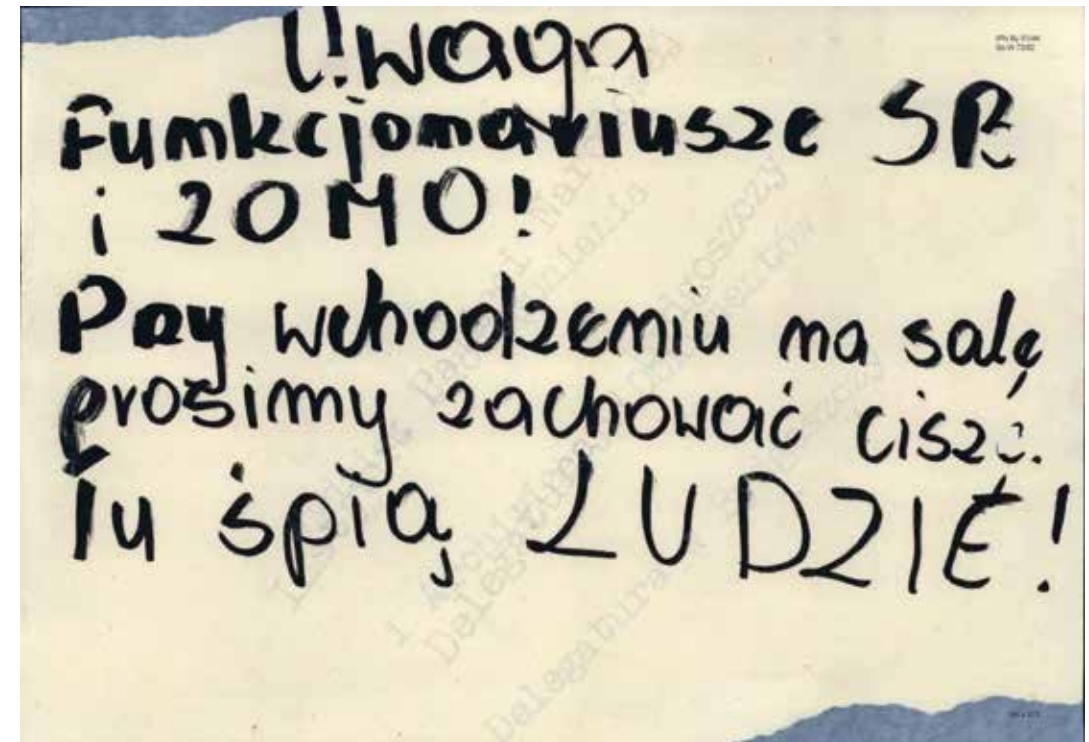


Lendas (Politechnika Szczecińska) i Ewaryst Waligórski (ostatni obok Ustasiaka pozostali na wolności członek Prezydium ZR „S” PZ).

Nie oznacza to, że w innych szczecińskich zakładach nie ogłaszano strajków, a wszyscy chcący postawić opór działaniom władz udawali się do „Warskiego”. W tych dniach zastrajkowały również m.in.: Szczecińska Stocznia Remontowa „Gryfia”, szczeciński Polmozbyt, Przedsiębiorstwo Przemysłu Urządzeń Transportowych „WUTEH” i Zakłady Sprzętu Elektrogrzejnego „Predom-Selfa”, Stocznia Remontowa „Parnica”, papiernia „Skolwin”, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacji Miejskiej czy Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Dana”. Strajk w Stoczni Szczecińskiej miał jednak znaczenie symboliczne – zarówno z uwagi na jej związek z historią „Solidarności”, pozycję flagowego szczecińskiego przedsiębiorstwa, jak i znaczenie ekonomiczne (zakład zatrudniał wówczas przeszło 10 tys. pracowników, realizował kontrakty zagraniczne zarówno dla ZSRR, jak i kontrahentów z krajów kapitalistycznych, płacących cennymi dewizami).

14 grudnia MKS ogłosił dwie odezwy. Pierwsza skierowana była do wszystkich zakładów pracy w regionie. Kreślono w niej zwięzłe obraz sytuacji w kraju i na Pomorzu Zachodnim (aresztowania związkowych działaczy, militaryzację części przedsiębiorstw, utworzenie Ogólnokrajowego Komitetu Strajkowego na czele z wiceprzewodniczącym Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Mirosławem Krupińskim w Gdańsku, ukonstytuowanie MKS w „Warskim” i ogłoszenie okupacyjnego strajku generalnego w całym regionie). „Komisje Zakładowe – głosiła dalej odezwa – natychmiast powinny przekształcić się w Komitety Strajkowe i przejąć władzę w zakładach. Następnie komitety strajkowe winny nawiązać łączność z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym, delegując doń przedstawicieli. Walczymy o najświętsze i najwyższe cele naszego Narodu. Nie pozwolimy władzy wielu tysięcy naszych braci. Nie zgodzimy się na to, by za pomocą wprowadzenia stanu wojennego pozbawiono społeczeństwo podstawowych i niezbywalnych praw i swobód obywatelskich. Postępowanie władzy świadczy, iż ogłosiła ona stan wojenny przeciwko narodowi”. Szczeciński MKS wysuwał dwa postulaty: „1. zwolnienie wszystkich aresztowanych działaczy i członków Związku [»Solidarność«], 2. uchylene dekretu o wprowadzeniu w kraju stanu wojennego”.

W drugiej odezwie (do OKS w Gdańsku i wszystkich komitetów strajkowych oraz ludzi pracy w całym kraju) szczeciński MKS informował, że strajk generalny na Pomorzu Zachodnim jest odpowiedzią „na totalny i brutalny atak podjęty przez władze przeciwko Związkowi [»Solidarność«] i przeciwko wszystkim ludziom pracy, dokonany zamach na Konstytucję i niespotykane w krajach cywilizacyjnych [winno być: cywilizowanych – przyp. MS] ograniczenie praw obywatelskich”. „Tylko taką odpowiedź – głosił dalej dokument – można udzielić władzom na zastosowaną przemoc i prowadzone represje poniżające godność narodową. Nowa próba zastraszenia społeczeństwa i tym razem nie odniesie skutku. Niezlomność naszego Narodu dowiodła wielokrotnie, że represjami, terrorem, wywieranym gwałtem nie uzyska się niczego. Robotnik polski nie podejmie pracy pod przymusem i w zastraszaniu. Żądanie wolności i godności pracy ludzkiej staje się tym samym jeszcze silniejsze”. Ostatnie zdania odezwy sformułowano z patosem, dając jednocześnie wyraz chęci trwania w oporze: „Ofiara krwi, jaką nasz Naród złożył w walce z przemocą na przestrzeni wieków, a szczególnie w ostatniej wojnie, daje nam prawo godnego życia we własnym



Mimo napiętej atmosfery, części strajkujących nie opuszczało poczucie humoru. Plakaty przygotowane przez uczestników strajku w „Warskim” po 13 grudnia 1981 r. „zabezpieczone” jako dowody podczas pacyfikacji zakładu w nocy 14–15 grudnia 1981 r., zbiory Archiwum IPN w Bydgoszczy.

kraju. Udzielamy przestrogi tym wszystkim, którzy tę krew chcieliby ponownie przelać dla zachowania swoich stanowisk i nieakceptowanej przez naród władzy, że do tego nie dopuścimy. Nie ulegniemy przemocy i będziemy trwać aż do zwycięstwa!!!”. W swoich prywatnych zapiskach Maria Chmielewska (członkini stoczniowej „Solidarności” i władz regionalnych związku, a w tym czasie MKS) zanotowała opinię Milczanowskiego z 14 grudnia: „Musimy przygotować się na długotrwały strajk, załatwić spanie i żywienie”. Od siłowego rozbitcia strajku tę wypowiedź dzieliły już jednak tylko godziny.

Tymczasem wśród szeregowych uczestników strajku, obecnych w świetlicy stoczniowej, panowała atmosfera pełnego napięcia wyczekiwania. Jeden ze świadków w późniejszym śledztwie w sprawie przewodnictwa strajku stwierdził podczas przesłuchania przez prokuraturę, że przypominało to nastrój przepełnionej poczekalni na dworcu kolejowym. Zapytany przeze mnie o swój udział w stoczniowym strajku Marek Adamkiewicz, jeden z liderów Niezależnego Zrzeszenia Studentów w Szczecinie, wspominał z kolei: „Praktycznie to niewiele robiłem, bo nie było co robić. Spędzałem ten czas głównie na świetlicy, gdzie były bez przerwy podawane nowe komunikaty, informacje. Udałem się też do działu stoczniowej poligrafii, chciałem pomagać przy druku komunikatów i ogłoszeń, ale się okazało, że tam jest nadmiar chętnych. Nie byłem po prostu potrzebny. W związku z tym, jak większość osób spoza stoczni, siedziałem nieco beczynnym na świetlicy głównej. Oczywiście trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że napięcie rosło z każdą godziną”.

Finałowe godziny strajku następująco opisała w swoim dzienniku Chmielewska: „O 22.00 [14 grudnia – przyp. MS] zaczęłam szukać spania. Chciałyśmy iść z [Janiną] Trojanowską. Miałam klucz na W-4, mogłyśmy iść na PM i [pójść



Widok z okien Biura Konstrukcyjnego Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego na blokadę. Fot. Zbigniew Wróblewski. 14 XII 1981 r.

spać w salce, gdzie [wypisywałam] przepustki. Tak się grzebałyśmy, aż zaczęły meldować z bramy, że Stocznia otacza wojsko. Bez przerwy dzwonił [Jerzy] Wójtowicz. Cały czas w nerwach. A[ndrzej Milczanowski] bez przerwy układał Komunikaty dla załogi i odezwy do wojska, do MO. Wystąpił też z odezwą ppor. MO (z głódówki)! [bezpośrednio przed wprowadzeniem stanu wojennego KZ „S” w „Warskim” użyczył miejsca na protest głodowy na terenie stoczni grupie milicjantów, którzy domagali się zgody na utworzenie w strukturach milicji komórki NSZZ „Solidarność” – przyp. MS]. Wojsko zagłuszało głośniki na gł. bramie. Stali przed Stocznia, demonstrując siłę i nie wchodzili. Byłam pewna, że wejdą rano, a nie po ciemku. [...] Za wszelką cenę chciałam położyć się chociaż na trochę. Leżałam może 10 minut – nerwy. Poszliśmy na br[amę] kolejową. Widać skoty, wojsko. Pełno naszych ludzi na bramie. Cały czas przez radiowęzeł lecały odezwy. Wróciliśmy po torby. Chciałam wracać na świetlicę. W tym momencie głos A[ndrzeja Milczanowskiego z głośników radiowęzła] mówi, że dziękuje wszystkim za postawę godną Polaka, że włamują się do świetlicy”.

Akcja siłowego rozbicia strajku rozpoczęła się około północy. Zanim do tego doszło, przez pewien czas trwała swoista „walka na słowa”. Z jednej strony ze stoczniowych megafonów płynęły apele strajkujących do milicjantów i żołnierzy, nawołujące do niepodporządkowywania się poleceniom przełożonych i zaniechania dalszych działań. Odczytywano m.in. odezwy Juliana Sekuły, byłego milicjanta, zwolnionego z pracy w MO za działania na rzecz powołania milicyjnych, niezależnych związków zawodowych, który przed 13 grudnia 1981 r. wraz z kilkoma innymi osobami prowadził wspomnianą głódówkę na terenie „Warskiego”, następnie pozostał na stoczniowym strajku. „Robotnicy – głosiła treść odezwy – nie mają broni i innych środków unicestwienia ludzi. Nie chcą i nie zrobią krzywdy nikomu. Koledzy! Zwracam się do was w imieniu Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego Związku Zawodowego Funkcjonariuszy

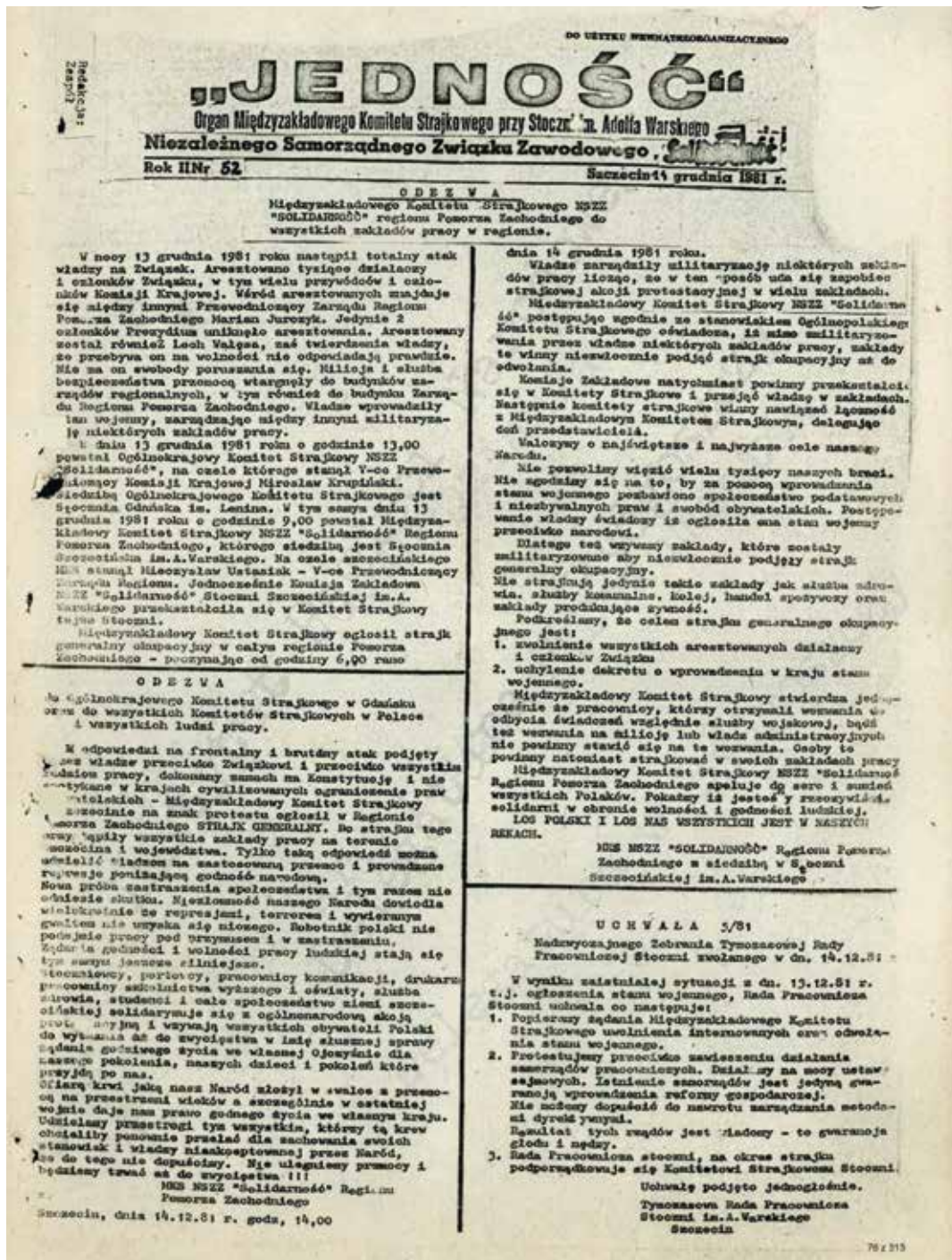
MO i wszystkich ludzi pracy. Gdy od przełożonych otrzymacie rozkaz użycia przemocy – nie wykonujcie go. Wykonanie takiego rozkazu nie jest humanitarne i jest zbrodnią przeciwko własnemu narodowi. Macie pełne prawo zagwarantowane przepisami międzynarodowymi nie wykonać takiego rozkazu. Koledzy! Jedno jest obecnie pewne – przejdziecie wszyscy do historii. Historia też oceni waszą postawę. Dla ludzi pracy możecie stać się przyjaciółmi lub śmiertelnymi wrogami. Proszę was o jedno – zróbcie tak, jak dyktuje wam własne sumienie, a nie rozkazy przełożonych”.

Z kolei Milczanowski, zwracając się do funkcjonariuszy MO i żołnierzy, podkreślał: „jesteście naszymi braćmi, jesteście synami narodu i społeczeństwa polskiego. [...] – pamiętajcie, że stoicie dzisiaj w miejscu poświęconym krwią poległych robotników Szczecina w Grudniu 1970 roku. [...] Chcemy, byście czuli się synami narodu polskiego, nie żywimy do was niechęci. Nie chcemy z wami walczyć. Walczymy o wolność wielu tysięcy aresztowanych związkowców. Walczymy strajkiem. Walczymy o prawa moralne i obywatelskie wszystkich członków społeczeństwa. Walczymy również o wasze prawa”.

Dramatyczne przemówienie do otaczających stocznia mundurowych wygłosiła Maria Zarzycka. „Bracia i ojcowie! – apelowała. – Nasi kochani chłopcy! Prosimy was o nieużycie broni palnej przeciw swoim bliskim. Każdy z was posiada przecież rodzinę, kogoś bliskiego. Swoją dziewczynę, która może paść ofiarą. Miejcie serce i litość dla kobiet. Dla swych najbliższych. Życie posiadamy tylko jedno. Chrońcie nasze życie. Nie używajcie broni i siły przeciw nam”. Autorka powyższych słów i kilka innych kobiet w obstawie robotników udały się pod bramę stoczni i próbowały nakłonić – bez skutku – otaczające zakład oddziały do podjęcia pertraktacji.

Strajkującym odpowiadały tylko wezwania nadawane z urzędzeń nagłaśniających milicji i wojska. „Do straży robotniczej! W związku z nielegalnością strajku – głosiło jedno z nich – wzywam do natychmiastowego otwarcia bramy, zaprzestania pełnienia swych funkcji, opuszczenia terenu zakładu i umożliwienia innym nieskrępowanego wyjścia. Niewykonanie polecenia spowoduje użycie środków przymusu i narazi każdego z was na odpowiedzialność karną. Organa porządkowe w trakcie godziny milicyjnej honorować będą w drodze do domów wpis o zatrudnieniu w dowodzie osobistym lub przepustkę stoczniową”. Kolejne komunikaty, nawołujące do opuszczenia stoczni, nadawano już po rozbiciu bram przedsiębiorstwa.

Siły wojskowo-milicyjne sforsowały dwie stoczniowe bramy (główną oraz od ulicy Dubois, tzw. Arsenał) kilkanaście minut po północy 15 grudnia 1981 r. Obstawiające je, grupy stoczniowców najpierw zaatakowano armatkami wodnymi (a panował wówczas kilkunastostopniowy mróz). Następnie, gdy ludzie, uciekając przed strumieniami lodowatej wody, odsunęli się, metalowe ogrodzenia wyłamano czołgami. Symboliczny wymiar miało uszkodzenie podczas tej akcji tablicy upamiętniającej ofiary Grudnia '70 w Szczecinie przy bramie głównej stoczni. Major MO Hieronim Graf, dowodzący 400-osobowym batalionem milicji, który brał udział w jej sforsowaniu, relacjonował miesiąc później (zeznanaj jako świadek w śledztwie ws. przywódców strajku): „Podlegli [mi] funkcjonariusze MO byli zabezpieczeni w kaski z przyłbicami, pałki i środki chemiczne, przy czym jeden pododdział w sile kompanii był tylko wyposażony w broń długą i amunicję bojową. Pododdział ten stanowił odwód i miał być użyty tylko w razie ostateczności i na wyraźny rozkaz. [...] Brama główna była



Wydanie „Jedności” przygotowane przez strajkujących w stoczni „Warskiego” z odczwą MKS na pierwszej stronie. zbiory archiwum IPN w Bydgoszczy.

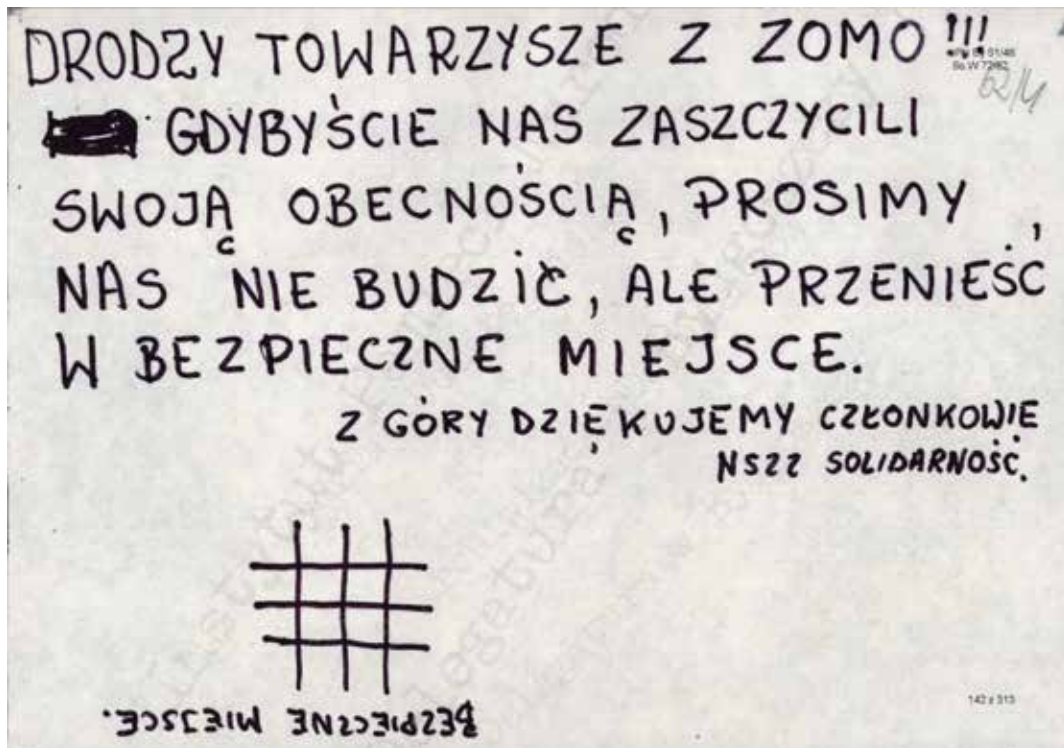
zamknięta od strony wewnętrznej stoczni, przy bramie palił się koksownik. Plac przed bramą od strony zewnętrznej był oświetlony, natomiast za bramą było ciemno. Widziałem, że tam znajdowali się ludzie, lecz w jakiej ilości, tego nie potrafię określić. Kolejność działań wyglądała w ten sposób, że na podany

sygnał użyto armatek wodnych celem rozproszenia osób znajdujących się za bramą wewnątrz stoczni. Następnie czołg staranował bramę wjazdową, a potem się wycofał. Na mój rozkaz spieszony wcześniej batalion w tyralierze podwójnej wkroczył na teren stoczni w kierunku świetlicy usytuowanej po prawej stronie w odległości ok. 800 m od bramy głównej. Po dojściu do świetlicy została ona otoczona przez funkcjonariuszy MO, natomiast ja skierowałem się w kierunku drzwi wejściowych. Na moje polecenie drzwi wejściowe zostały wyważone i funkcjonariusze MO wkroczyli do wewnątrz budynku”. Graf wziął jeszcze udział w przeszukaniu szatni, znajdującej się na parterze i dalej dowodził swoimi podkomendnymi z zewnątrz budynku.

Zanim milicjanci wdarli się do głównej sali świetlicy, gdzie przebywała ponadstoosobowa grupa uczestników strajku wraz z liderami, Milczanowski zdążył jeszcze wygłosić ostatnie przemówienie do ogółu strajkujących. „Zaczęłem od podziękowania za postawę, jaką okazali. Powiedziałem, że dobrze zasłużyli się Polsce. Prosiłem, by zachowywali się rozsądnie, lecz konsekwentnie. Rozsądnie, to znaczy panując nad emocjami, a konsekwentnie, to znaczy – muszą trwać w oporze i w uporze. Zakończyłem w ten sposób, że spotkamy się w lepszych czasach. Te słowa pamiętam do dziś. Praktycznie było to moje pożegnanie z załogą Stoczni”.

Niebawem drzwi pomieszczenia zajmowanego przez komitet strajkowy zostały wyważone przez milicjantów. Najpewniej pierwszym oficerem, który wszedł do pomieszczenia, był kpt. milicji Jan Szumski (na co dzień wykładowca kryminalistyki w miejscowym Ośrodku Szkolenia MO), przydzielony do oddziałów, które miały opanować stocznnię „Warskiego”, jako dowódca jednego z plutonów. Znał on Milczanowskiego z czasów wspólnej pracy w szczecińskiej prokuraturze w latach 60. „W świetlicy mogło być – czytamy w zeznaniach Szumskiego – około 150 do 200 osób w momencie, kiedy myśmy tam wkroczyli. Spostrzegłem między innymi, że na poszczególnych stolikach znajdowały się wizytówki z nazwami zakładów pracy. Stąd wnioskuję, że znajdowały się [tam] delegacje różnych zakładów pracy. Wszyscy siedzieli przy stolikach. Za stołem prezydyalnym nie było w tym czasie nikogo. Przy pierwszym stoliku od stołu prezydyalnego i od strony okien siedział znany mi p. Milczanowski. Pozostałych osób nie znałem. [...] Będący w świetlicy ludzie zachowywali się spokojnie. Dowodzący pododdziałami MO ppłk. Trzpis poprosił [...] p. Milczanowskiego, aby przyczynił się czy też spowodował spokojne opuszczenie świetlicy przez wszystkich ludzi. Ludzie po spisaniu i sprawdzeniu personaliów wyszli ze świetlicy. Żadnych incydentów nie było”.

Nieco więcej szczegółów odnaleźć można w zeznaniach wspomnianego przez Szumskiego ppłk. Zbigniewa Trzписа – dowódcy oddziału ZOMO, który sforsował stoczniową bramę od strony ul. Dubois (zastosowano tam ten sam sposób, co przy bramie głównej: polewanie wodą – wyłamanie ogrodzenia przez czołg – wkroczenie uzbrojonych funkcjonariuszy). Dotarł on pod budynek świetlicy chwilę po jednostkach, które podeszły od strony bramy głównej, kiedy podkomendni mjr. Grafa wyważali łomem drzwi do budynku. „Po ok. 20 minutach – opisywał dalszy przebieg wydarzeń – udałem się od razu do świetlicy, gdzie zauważyłem, iż funkcjonariusze znajdują się na zewnątrz. W świetlicy przebywało ok. 150 osób cywilnych. Jakaś kobieta w tym czasie przemawiała do obecnych w świetlicy. Słyszałem głos kobiety. Treści przemówienia nie słyszałem z uwagi na panujący w świetlicy hałas. Po przemówieniu osoby



Mimo napiętej atmosfery, części strajkujących nie opuszczało poczucie humoru. Plakaty przygotowane przez uczestników strajku w „Warskim” po 13 grudnia 1981 r. „zabezpieczone” jako dowody podczas pacyfikacji zakładu w nocy 14-15 grudnia 1981 r., zbiory Archiwum IPN w Bydgoszczy.

cywilnie odśpiewały hymn. Następnie wszedłem na podium i zwróciłem się do zebranych w imieniu komisarza wojskowego o opuszczenie dobrowolnie terenu świetlicy i stoczni. Wówczas padły głosy z sali, że godzina »policyjna« nie minęła i na ulicach Milicja będzie biła. Zapewniłem, że osoby, które dobrowolnie opuszczą teren stoczni, nie będą miały żadnych nieprzyjemności z powodu godziny milicyjnej”.

Trzpis zeznawał dalej, że zauważył wtedy stojącego nieopodal, znanego mu osobiście z okresu pracy w prokuraturze Milczanowskiego. Przywitał się z nim i wyraził zdziwienie, że „jako były prokurator znający dekret o stanie wojennym i wynikające z niego konsekwencje – robi wodę z mózgu ludziom nieznaną prawą”. Mimo to wyraził zgodę, aby Milczanowski „zamienił kilka słów z organizatorami strajku”. Po tym czasie oficer wyprowadził go z sali (jak wspominał po latach sam Milczanowski – „pod rękę i nie szarpiąc, ale lekko ciągnąc”). Milczanowski oraz pozostali rozpoznani liderzy strajku zostali następnie umieszczeni w trzech milicyjnych więźniarkach (potocznie nazywanych „sukami”) zaparkowanych przed budynkiem świetlicy.

Brakujące szczegóły do zeznania Trzписа dodał w swoich wspomnieniach Krzysztof Jagielski, według którego kobietą, która przemawiała w świetlicy, była Janina Trojanowska, zaś z Milczanowskim, zanim został zabrany, rozmawiali oprócz samego Jagielskiego jeszcze Tadeusz Lichota, Mieczysław Ustasiak, Ewaryst Waligórski i Jan Denisewicz. Jagielski wspominał, że zgodzono się w tym gronie na zakończenie strajku bez stawiania oporu. Następnie wraz z innymi został umieszczony w jednej z więźniarek, których odjazd blokował jednak tłum stoczniowców (niektórzy kładli się w tym celu na śniegu), schodzących się pod świetlicę z poszczególnych wydziałów.

W pisemnej relacji przekazanej kilka lat później Jagielskiemu Zdzisław Kacprzak, któremu udało się uniknąć zatrzymania, następująco opisywał rozwój wydarzeń po wyprowadzeniu wszystkich z budynku świetlicy (Jagielski przytoczył relację Kacprzaka w swojej książce wspomnieniowej *Za burtą legendy*): „Stałem na schodach. Z lewej strony trzy budy z ZOMO, za nimi dalsze ze znakiem czerwonego krzyża i karetki pogotowia. Z prawej gazik z wysoką anteną. Wokół budynku poczwórny szereg zomowców. Tysiące, tysiące robotników aż po Magazyn Farb i Lakierów i nową szatnię wydziału W7. Od strony wody, kolumna skotów i samochodów. Z tamtej strony napływa nieprzerwanie strumień ZOMO. Między budynkiem Głównego Dyspozytora a Kotłownią – luka. Stąd nadciągają stoczniowcy. Skandują: »Gestapo, gestapo, nie oddamy, nie oddamy ich, precz ze Stoczni«. Tłum napiera i wpycha mnie w lukę między zomowcami. Jestem w środku wśród robotników. Gwizdy, krzyki, uniesione pięści. »Jeszcze Polska nie zginęła«, a gdy skończyli, rozległ się straszny krzyk, rozdzierający, mrozący krew w żyłach: »Gestapo, gestapo«. Od strony nabrzeża ZOMO napiera tarczami, wchodzi w głąb robotników i rygluje lukę. Jesteśmy otoczeni. Głos z gazika: »Wasz opór jest bezskuteczny, rozejść się«. Zagusza go *Boże, coś Polskę*. Słyszę, jak dowódca ZOMO wydaje rozkazy: »Formuj się, krokiem naprzód, marsz kolumna, marsz«. Formują nowy szyk, otaczają więźniarki. Od nabrzeża wciąż nowe posiłki. ZOMO wdziera się między robotników i rozdziela ich. Wypchnięto mnie na drogę do Magazynu Farb i Lakierów”.

Dalej Kacprzak relacjonował, iż w zaułku natknął się na grupę żołnierzy, wśród których był oficer w randze podpułkownika. Przedstawił się on jako „zastępca dowódcy Garnizonu Szczecin” i nawiązał z Kacprzakiem rozmowę. Chciał wyjaśnić, dlaczego robotnicy nie chcą się rozejść. Kiedy usłyszał, że mimo obietnic, iż wszyscy strajkujący zostaną puszczeni wolno, milicja aresztowała część osób wychodzących ze świetlicy, zabrał Kacprzaka na rozmowę z dowodzącymi jednostkami ZOMO. „Dochodzimy do gazika – czytamy dalej w omawianej relacji. – Wychodzi z niego kapitan ZOMO. Podpułkownik melduje się. » – Chcę rozmawiać z głównodowodzącym – mówi rozkazująco. – Nie widzę takiej potrzeby. Tutaj ja jestem. – Jeżeli tak, to otwórzcie więźniarki. Chcę zobaczyć, kto jest w środku. – Nie zgadzam się. To jest nasza sprawa.« Wokół nas zacieśnił się krąg zomowców. » – Widzicie, co się dzieje. Zawiadomcie głównodowodzącego, że czekam tu na niego i chcę rozmawiać. To jest rozkaz. Rozumiecie! – Rozkazy wydaje mój dowódca. Możecie iść do niego sami. Jest tam na górze, w świetlicy«”.

Rozmowy z kolejnym oficerem ZOMO, wewnątrz gmachu, również początkowo nie przynoszą efektu. Oficer WP ewidentnie nie może dogadać się z oficerami milicji. Kacprzak odnotowuje ich wzajemne animozje i słowne utarczki. W końcu jednak niewymieniony w omawianej relacji z nazwiska major ZOMO (mógł być to wspomniany wcześniej mjr Graf) w nerwach zgadza się, aby Kacprzak sprawdził, kto jest zamknięty w milicyjnych pojazdach. Dostaje na to jednak tylko pięć minut. Udaje mu się spisać na kartce i odczytać zgromadzonemu wokół tłumowi nazwiska części zatrzymanych. Początkowo ludzie nadal krzyczą: „Gestapo”, ale Kacprzak przekrzykuje ich i przekonuje, przypominając wytyczne kierownictwa strajkowego. „Proszę – zwraca się do zgromadzonych – byśmy wykonali decyzję Komitetu Strajkowego i rozeszli się do domów. Nie może przelać się krew. Nasze ręce są czyste, wolne od przemocy, nigdy nie byliśmy uzbrojeni. To oni nas zaatakowali. Nie zgadzamy się ze stanem

wojennym. Mówimy »nie« zbrojnej i perfidnej napaści na Stocznię. Nadal będziemy żądać wypuszczenia internowanych. Nie ma siły, która by zniszczyła Związek. Opuścimy Stocznię w spokoju. Czujemy ból w naszych sercach. Nie wiemy, co może nas spotkać jutro, ale pamiętamy, że dzień dzisiejszy nie jest ostatnim dniem walki. W domach czekają na nas rodziny. Rozlega się »Jeszcze Polska nie zginęła«. Podpułkownik z żołnierzami odchodzi w kierunku bramy. Oddziały ZOMO otaczają szczytnym pierścieniem więźniarki. Ruszają. Jest godzina druga piętnaście”.

Choć relacja Kacprzaka wydaje się nieprawdopodobna, częściowo potwierdzają ją osoby uwięzione już wówczas w milicyjnych pojazdach. Siłą rzeczy nie mogły one być świadkami rozmów między żołnierzami i milicjantami, które relacjonował Kacprzak. Zarówno Milczanowski, jak i Jagielski zapamiętali natomiast, że uchylono przed nim drzwi więźniarki, w której byli zamknięci i pospiesznie spisywanie nazwisk. Uprawdopodobnia to omówione wyżej wydarzenia o tyle, że dopuszczenie niezależnego przedstawiciela stoczniowej załogi do aresztowanych już działaczy nie mogło odbyć się bez przyzwolenia dowódców jednostek siłowych realizujących pacyfikację stoczni, pośród których główną rolę odgrywało ZOMO. Opisane wydarzenia doprowadziły do – przynajmniej częściowego – wygaszenia emocji. Pozwolono odjechać pojazdom z więźniami, a pozostali uczestnicy strajku zaczęli powoli rozchodzić się do domów, choć milicjanci jeszcze przez kilka godzin penetrowali rozległy teren i zabudowania stoczniowe, wymuszając opuszczenie stoczni przez grupki strajkujących. „W trakcie całych działań na terenie stoczni – podkreślał później w zeznaniach ppłk Trzpis – nie zastosowano żadnych środków przymusu bezpośredniego”.

W ramach przeprowadzonej akcji, jak ustalił historyk Artur Kubaj, „zatrzymano trzydzieści osób, w tym dziewięciu członków MKS. Siedemnastu zatrzymanym postawiono zarzut przestępstwa polegającego na »wspólnym i w porozumieniu z innymi osobami organizowaniu i kierowaniu strajkiem w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego w Szczecinie oraz w innych zakładach pracy na terenie województwa szczecińskiego, uniemożliwiając im w ten sposób prawidłowe funkcjonowanie«, na podstawie dekretu o stanie wojennym. 16 grudnia prokurator wojewódzki w Szczecinie przekazał śledztwo w części dotyczącej jedenastu osób do dalszego prowadzenia wojskowemu prokuratorowi garnizonowemu w Szczecinie, który zastosował wobec nich areszt tymczasowy. W stosunku do pozostałych sześciu oskarżonych prokurator uchylił tryb doraźny i odstąpił od stosowania środków zapobiegawczych”.

W skład wspomnianej jedenastki wchodził: Mieczysław Ustasiak, Andrzej Milczanowski, Stefan Niewiadomski, Tadeusz Lichota, Wojciech Duklanowski, Krzysztof Jagielski, Ryszard Drewniak, Witold Karolewski, Ewaryst Waligórski, Jan Denisewicz i Ryszard Lendas. Szczegółowy opis śledztwa, któremu zostali poddani, i procesu przed sądem Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy to już odrębny temat. Warto jednak odnotować, że proces ów nie do końca spełniał oczekiwania władz stanu wojennego i wojskowej prokuratury. Prowadzący go jako przewodniczący składu sędziowskiego kpt. Zbigniew Bromirski, zdaniem części samych oskarżonych, robił wszystko, aby w ówczesnych warunkach zaszkodzić im jak najmniej. Wyroki skazujące – z pozoru wysokie, odbiegające jednak mocno od wniosków prokuratury – usłyszała tylko część oskarżonych: Milczanowski (5 lat pozbawienia wolności i 3 lata pozbawienia praw publicznych), Ustasiak (4 lata pozbawienia wolności i 3 lata pozbawienia

praw publicznych), Lichota (3,5 roku pozbawienia wolności i 3 lata pozbawienia praw publicznych), Drewniak, Karolewski i Niewiadomski (każdy po 1,5 roku pozbawienia wolności). Wobec Denisewicza, Duklanowskiego, Jagielskiego i Lendas postępowanie zostało umorzone, a Waligórskiego uniewinniono.

Siłowa interwencja w nocy 14/15 grudnia 1981 r. nie przerwała całkowicie strajku w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, który w kolejnych dniach trwał nadal, choć bez przywództwa i był prowadzony w trybie „zmianowym”, tj. robotnicy przychodzili do zakładu zgodnie z planem, ale nie podejmowali czynności służbowych, a po zakończeniu swojej zmiany wracali do domów. Iwona Horodecka (wówczas Szubryt; przed stanem wojennym kierowniczka klubu przyzakładowego w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej w Szczecinie oraz koordynatorka bibliotek wydawnictw niezależnych przy komisjach zakładowych „S” w ZR „S” PZ), która ukrywała się na terenie stoczni od 15 do 18 grudnia, wspominała po latach w rozmowie ze mną, że przez ten czas nie widziała tam nikogo, kto podejmowałby pracę. Ona sama z pomocą stoczniowców przygotowywała i kolportowała w tym czasie ulotki zachęcające do trwania w oporze (21 grudnia została za to aresztowana, a w styczniu 1982 r. sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego skazał ją na 3 lata więzienia i 2 lata pozbawienia praw publicznych).

Właściwym finałem grudniowego strajku w stoczni „Warskiego” było całkowite zawieszenie działalności zakładu na dwa tygodnie – do 4 stycznia 1982 r. Czas ten władze wykorzystywały do zwolnień – według danych MSW, do których dotarł historyk Robert Spalek, z pracy wyrzucono około 1015 osób. Na początku 1982 r. stocznia – w okrojonym składzie osobowym – wznowiła pracę. Władze stanu wojennego mogły dopisać zduszenie oporu szczecińskich stoczniowców do listy swoich sukcesów, warto jednak zwrócić uwagę, że pociągnęło to za sobą nie tylko znaczące koszty społeczne (zwolnieni dyscyplinarnie w stanie wojennym często mieli problemy ze znalezieniem nowej pracy, przy czym rzutowało to przecież nie tylko na sytuację samych zwalnianych, ale również ich rodzin), ale również ekonomiczne, i to długofalowe. Strajki i związane z nimi zwolnienia na tle politycznym spowodowały m.in. utratę wiarygodności przedsiębiorstwa w oczach zachodnich armatorów, co przełożyło się na spadek liczby korzystnych kontraktów. Stocznia Szczecińska już nigdy nie odbudowała pozycji, którą miała jeszcze w latach siedemdziesiątych XX w.

Przypuszczać można, że podczas nocnej pacyfikacji stoczni 14/15 grudnia 1981 r. było o włos od starć strajkujących z siłami wojskowo-milicyjnymi, w wyniku których najpewniej padłoby zabici i ranni. Choć przesyciona propagandą ówczesna oficjalna prasa podkreślała, że to dzięki rozprawom władz w stoczni nikomu nie stała się krzywda, w rzeczywistości była to zasługa zarówno liderów strajku, jak i odpowiedzialności jego szeregowych uczestników oraz, czemu nie sposób zaprzeczyć, istotnie jednostek (zarówno dowódców, jak i podkomendnych) biorących udział w nocnej pacyfikacji (choć, jak wynika z opisanych wyżej wydarzeń, w finałowych chwilach milicja raczej zaogniała sytuację, a wojskowi spełniali rolę łagodzącą). Stwierdzić wreszcie należy, że fakt, iż obyło się bez ofiar, był również szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Zwłaszcza kiedy liderzy strajku byli już uwięzieni w milicyjnych pojazdach, do drastycznego zaostrożenia sytuacji, które mogło skończyć się przelewem krwi, mogła wystarczyć zaledwie iskra.

Aleksander Srebrakowski

## Zapomniana ofiara stanu wojennego

Dziewięć tygodni od wprowadzenia w Polsce stanu wojennego, w nocy z 12 na 13 lutego 1982 r., w Lubinie znaleziono bombę podłożoną na jednej ze stacji benzynowych CPN. Na szczęście nie doszło do eksplozji.

Tekst niniejszy powstał w oparciu o materiały wrocławskiego IPN: *Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Piroman”*, sygn. IPN Wr 024/8802 oraz własne wspomnienia autora z tamtego czasu. Części tekstu ujęte w cudzysłowach są cytatami z materiałów IPN.

1. S. Ligarski, *Bombami w system. „Bombiarze” z Zagłębia Miedziowego w czasie stanu wojennego*, „Dzieje.pl”, On-line: <https://dzieje.pl/artykuly-histeryczne/bombami-w-system-bombiarze-z-zaglebia-miedziowego-w-czasie-stanu-wojennego>.

2. Dolnośląskie Zakłady Wytwórcze Maszyn Elektrycznych „Dolmel”.

Jak wyjaśniono w trakcie późniejszego śledztwa, bombę podłożyli Jan Kołodziej i Ryszard Szwed, związani ze strukturami lokalnej „Solidarności”, których celem był pierwotnie Komitet Miejski PZPR lub placówka ORM. Ówczesne media (prasa, radio i telewizja) mimo braku szkód malowały obraz spustoszeń i śmierci, jaki mogła spowodować ta akcja<sup>1</sup>. Trzy dni po wspomnianym wydarzeniu we Wrocławiu doszło do kolejnego incydentu z użyciem materiałów wybuchowych. 15 lutego w hotelu robotniczym DZWME „Dolmel”<sup>2</sup> przy ul. Strzegomskiej 51/53 o godzinie 20.30 nastąpiła gwałtowna detonacja, w wyniku której zginął młody pracownik. Wiesław Wojciechowski, mieszkaniec hotelu, tak relacjonował wydarzenie: „O godz. 19.33–19.35 usłyszeliśmy strzał na klatce schodowej, nieco cichszy od strzału pistoletowego, przypominający detonację spłonki. Na ten strzał nie zareagowałem, ponieważ nie skojarzyłem go z niebezpieczeństwem. Ok. godz. 20.15–20.25 usłyszeliśmy bardzo silny wybuch i poczuliśmy mocny wstrząs budynku. Przez okno widziałem, jak z góry spada gruz i różne przedmioty. Wychylając się, zobaczyłem na górze (na wysokości IV p.) rozerwaną ścianę i wydobywający się niebieski dym oraz różowy płomień. Płomień nie miał naturalnej barwy i przypominał raczej płomień ze spalania chemikaliów. Wybiegając na korytarz, zobaczyłem, jak mieszkańcy hotelu biegają na górę. Ja zszedłem na dół i kazałem jednej z mieszanek telefonować po pogotowie, kierownikowi po straż pożarną, a sam zawiadomiłem milicję. Gdy odłożyłem słuchawkę, zobaczyłem, jak mieszkańcy znoszą rannego mężczyznę na drzwiach użytych jako nosze”.

Przewodniczący rady mieszkańców hotelu, Andrzej Ustabowicz, wspominał: „Dnia 15 II 1981 [błędnie podany rok], będąc w hotelu przy ulicy Strzegomskiej 51, po godz. 20.00 poczułem bardzo silny wstrząs. Krótco po tym dość głośny trzask. Wszedłem na korytarz. Zobaczyłem jednego z mieszkańców, jak biegł na górę z gaśnicą w ręku. Poinformował mnie, że w pokoju 406 pali się. Poszedłem na górę. W pokoju 406 zobaczyłem potworny bałagan, boczna ściana była przewrócona. Z lewej strony pokoju, bliżej okna zobaczyłem ogień i kłęby dymu. Ponieważ użyte gaśnice nie stłumiły ognia, mieszkańcy zaczęli rozwijać wąż strażacki i gasić wodą. Wtedy wyłączyłem bezpieczniki. Ponieważ nic nie było widać, pobiegłem do pokoju po latarkę. Kiedy wróciłem z latarką, mieszkańcy zaczęli odrzucać w pewnym miejscu pokoju rupiecie. W tym momencie dowiedziałem się, że pod gruzami znajduje się człowiek. Po



M. Fornal i koledzy, zbiory IPN we Wrocławiu / Teczka: *Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Piroman”*, sygn. IPN Wr 024/8802

wydobyciu go i wyłamaniu resztek drzwi wyniesiono go na korytarz. Ja pozostałem w pokoju i przeszukiwaliśmy dalej gruzy. Nie znaleziono nikogo więcej. Przeszedłem do pokoju 405 i tu sprawdziłem, czy w tym pokoju nie ma nikogo. Tutaj trochę przeszkadzał ranny mieszkaniec z pokoju 405, który w szoku chciał wejść do pokoju po pieniądze. Jeden z milicjantów wziął mój reflektor i sam sprawdził wzrokowo pokój 405. Potem zszedłem na parter i zobaczyłem, jak pielęgniarze z rezygnacją odeszli od rannego i przykryli go prześcieradłem”.

Ofiarą tego tragicznego zdarzenia był Mieczysław Fornal, ślusarz pracujący na wydziale W-ib w Dolmelu, uczeń technikum (zaocznego) przy ul. Strzegomskiej we Wrocławiu. Dwa zdarzenia z użyciem materiałów wybuchowych w tak krótkim czasie zelektryzowały ówczesne władze. 16 lutego 1982 r. wszczęto sprawę operacyjnego sprawdzenia (SOS) o kryptonimie „Piroman”. Pierwszymi celami było ustalenie przyczyn wybuchu oraz określenie materiału, który spowodował detonację w hotelu, ustalenie kontaktów i powiązań Mieczysława Fornala z działającymi w konspiracji na terenie Dolmelu członkami „Solidarności”, ustalenie, czy ładunek był przygotowany w celach terrorystycznych.

W bardziej szczegółowym planie przedsięwzięć operacyjnych z 19 lutego dodano nawiązanie kontaktu z pracownikami KW MO<sup>3</sup> w Legnicy, aby ustalić okoliczności podłożenia bomby na stacji CPN (tu prawdopodobnie podano błędną nazwę miasta, a chodziło o Lubin) i przeanalizować wspólne elementy obu spraw, w tym ustalić, czy zastosowano ten sam materiał wybuchowy.

W celu pozyskania informacji o znajomych Mieczysława Fornala wykorzystano tak zwane osobowe źródła informacji, którymi byli TW, czyli tajni współpracownicy. TW „Marek II” miał zebrać komentarze pracowników Dolmelu o wybuchu

3. Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej.



M. Fornal i koledzy, zbiory IPN we Wrocławiu / Teczka: *Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Piroman”*, sygn. IPN Wr 024/8802

oraz o samym Fornalu. TW „Wiesław” miał zbierać informacje na temat postawy, działalności i kontaktów Fornala w miejscu pracy oraz jego związków z tzw. „grupą Hornika”. Zadaniem TW „Jacka” było zdobycie informacji na temat innych kontaktów Fornala w Dolmelu. Planowano także pozyskać nowych tajnych współpracowników, którzy mieli inwigilować środowisko bliskich znajomych Mieczysława Fornala. Chciano także bardziej efektywnie prowadzić przesłuchania tymczasowo zatrzymanego współlokatora ofiary, Krzysztofa Roli.

Ze wstępnych ustaleń, według ekspertów Zakładu Kryminalistyki KG MO<sup>4</sup> w Warszawie, wynika, że materiałem wybuchowym był amonit skalny, czyli materiał wybuchowy stosowany w górnictwie. Założono także, na podstawie doniesienia TW „Wiesława”, że pośrednikiem w zdobyciu tego materiału od nieznanego osoby mógł być Mieczysław Hornik, rozpracowywany w tym czasie przez siły bezpieczeństwa PRL w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Horn”. Hornik miał być szefem zakonspirowanej grupy działaczy „Solidarności”, zajmującej się „podziemną działalnością propagandową i inspirującą do akcji strajkowych”. Jej pozostałymi członkami byli: Krzysztof Chmielarz, Eugeniusz Stawiak, Andrzej Matuszewski, Józef Bartosik, Eugeniusz Porus, Kazimierz Kaniewski i Tadeusz Pióro. Co więcej, wskazywano, że Mieczysław Hornik utrzymywał kontakty z poszukiwanym listem gończym Jerzym Darmochwałem. W dokumentach zachowanych w IPN wyraźnie widać, że prowadzący śledztwo starali się „przykleić” sprawę wybuchu w hotelu do grupy Hornika. Nie znaleziono na to jednak dowodów.

Kiedy ustalono, że we Wrocławiu i Lubinie użyto amonitu, traktowano obie sprawy jako powiązane ze sobą. Sytuacja zmieniła się po 31 sierpnia 1982 r.,

4. Komenda Główna Milicji Obywatelskiej.



M. Fornal i koledzy, zbiory IPN we Wrocławiu / Teczka: *Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Piroman”*, sygn. IPN Wr 024/8802

kiedy w Lubinie podczas demonstracji antykomunistycznej zginęły trzy osoby, a rannych zostało jedenaście. Po tym wydarzeniu uaktywniła się ponownie grupa osób, które zaczęły znowu podkładać ładunki wybuchowe, tym razem także pod mieszkaniem osób uznanych za kolaborantów z reżimem komunistycznym. Ładunki podłożono między innymi w Głogowie, Polkowicach, Lubinie i Legnicy. Intensywność tych działań skłoniła władze do bardziej zdecydowanych kroków. 19 stycznia 1983 r. zatrzymano pierwsze osoby związane z podkładaniem ładunków. Ostateczne wyjaśnienie sprawy lubińskiej pokazało, że wybuch we Wrocławiu nie miał żadnych powiązań z akcją w Lubinie i pozostałych miastach. Okazało się, że przypadek wrocławski to odosobniona akcja, przeprowadzona przez jedną osobę. Ostatecznie SOS „Piroman” zamknięto 12 listopada 1983 r. W uzasadnieniu motywowano to następująco: „Sprawę Operacyjnego Sprawdzenia zakończono z niepotwierdzeniem, aby ładunek wybuchowy detonujący w hotelu robotniczym DZWME „Dolmel” był przygotowywany w celach terrorystycznych. Śledztwo prowadzone przez WUSW<sup>5</sup> w Legnicy na fakt podłożenia ładunku wybuchowego pod stację benzynową w Lubinie zakończyło się ujęciem sprawców, nie potwierdzono żadnych związków tego faktu z wybuchem w hotelu robotniczym „Dolmel”. Ponadto ustalono, że materiałem wybuchowym był amonit skalny używany w górnictwie w ilości około 0,5 kg. Wobec powyższego postanowiono zakończyć sprawę Operacyjnego Sprawdzenia krypt. „Piroman” nieustaleniem celu wykorzystania gromadzonego ładunku wybuchowego przez Mieczysława Fornala”.

Tak wygląda cała sprawa z perspektywy śledztwa prowadzonego przez ówczesne władze. A jak było naprawdę? Otóż pracownicy Dolmelu od początku

5. Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych.



Zniszczenia po wybuchu, zbiory IPN we Wrocławiu / Teczka: Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Piroman”, sygn. IPN Wr 024/8802

stanu wojennego aktywnie protestowali przeciwko działaniom władz komunistycznych. Kolejne akcje strajkowe rozpoczęte od poniedziałku, 14 grudnia 1981 r. demonstrowały niezgodę robotników na niedemokratyczne działania władz państwowych. Niestety, pociągało to za sobą kolejne aresztowania wśród członków „Solidarności”. Najpierw w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. „prewencyjnie” aresztowano i internowano głównych przywódców związku zawodowego. Kolejne strajki i wiece robotników, na których przemawiali działacze „Solidarności”, kończyły się następnymi aresztowaniami. Postanowiono zmienić formę protestu – ustalano określony termin, kiedy wszyscy pracownicy przestawali pracować przez 15 minut bez oddalania się od swojego stanowiska pracy. Nie było liderów, więc nie było kolejnych kandydatów do aresztowań. Taki właśnie strajk zorganizowano 21 stycznia 1982 r. Okazało się jednak, że tym razem losowo dokonano masowych aresztowań wśród pracowników, aby pokazać robotnikom determinację i siłę władzy. To nieco osłabiło ducha bojowego wśród pracowników, zaczęły być widoczne pierwsze symptomy marazmu. Należało myśleć nad innymi sposobami mobilizacji załogi do walki o swoje prawa.

W tej atmosferze szczególnie drażniącą dla ludzi okazała się konstrukcja, ni to pomnik, ni to instalacja, znajdująca się na pętli tramwajowej obok zakładu. Były



Zniszczenia po wybuchu, zbiory IPN we Wrocławiu / Teczka: Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Piroman”, sygn. IPN Wr 024/8802

to wielkie metalowe litery PZPR, które swoją czerwienią kłuły w oczy wysiadających z tramwaju i idących do pracy. Przypominało to nieco rosyjską metodę jeszcze z czasów carskich, kiedy Rosjanie na podbitych i zagarniętych terytoriach stawiali pomniki tym, którzy w bestialski sposób pacyfikowali mieszkańców podbitego obszaru. Tu podobnie pezetpeerowska „skulptura” ewidentnie prowokowała pracowników zakładu i mieszkańców Wrocławia. Pomysłem Mieczysława Fornala było zniszczenie tego niby-pomnika dla podniesienia ducha wśród wrocławian. Najgorsze w tej historii jest to, że kiedy Mietek zebrał nas (było to kilka osób) w szatni wydziału W-1b i pokazywał ładunek oraz wyjaśniał zasadę działania chemicznego zapalnika czasowego, nikomu nie przyszło do głowy, aby zwrócić uwagę, że może to być niebezpieczne, że może jednak odpuścić sobie tego rodzaju narzędzie do likwidacji zniechęconej konstrukcji. Wszyscy od razu mieli skojarzenia z pomnikiem Lenina w Nowej Hucie, który próbowano zniszczyć w podobny sposób w 1979 r. Potraktowaliśmy więc inicjatywę Mietka jako bardzo dobry pomysł, a jego fachowy wykład stłumił wszelkie obiekcje.

Nieszczęśliwy zbieg okoliczności doprowadził do tragedii. Zginął młody, obiecujący człowiek, dobry kolega, przed którym było całe życie. Najgorsza jest jednak świadomość, że gdyby nie działania ówczesnych władz, nikomu



Z ks. Andrzejem Dziećkiem o ks. Jerzym Popiełuszce rozmawia Marcin Bradke.



Zniszczenia po wybuchu, zbiory IPN we Wrocławiu / Teczka: Sprawa operacyjnego rozpracowania kryptonim „Piroman”, sygn. IPN Wr 024/8802

by nie przyszło do głowy próbować podobnych akcji. Jest jeszcze ostatni element tej tragedii – niepamięć. Próżno dzisiaj szukać w publikacjach opisujących stan wojenny czy dzieje wrocławskiej „Solidarności” informacji o tej ofierze stanu wojennego. Żyjący zapomniani bohaterowie tamtych czasów mają jeszcze szansę przypomnieć o swoich zasługach w walce o wolną Polskę. Mieczysław Fornal nie może tego zrobić. Pozostaje więc zadanie dla nas, aby przynajmniej przy okazji czterdziestej rocznicy haniebnych działań ówczesnych władz ponownie dać imię zapomnianym bohaterom tamtych trudnych lat.

**Marcin Bradke:** Czy pamięta Ksiądz, kiedy i w jakich okolicznościach poznał ks. Jerzego Popiełuszkę?

**Ks. Andrzej Dziećka:** To było w roku 1966, trwało Milenium Chrztu Polski, minął rok od słynnego orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich, zawierającego pamiętne słowa „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Zapewne jako prezent dla Kościoła w związku z milenium i podziękowanie za list biskupów (śmiech) władza zarządziła pobór kleryków do wojska. Takie „branki” były już wcześniej, od roku 1959, ale chłopaków rozsyłano po koszarach całej Polski. Teraz jednak partia wpadła na pomysł, żeby utworzyć oddzielną jednostkę klerycką w Bartoszycach. Zdradzę tajemnicę wojskową – jednostka miała numer 4413. Był to batalion szkoleniowy i wśród szczęśliwców, którzy się załapali na ten dwuletni pobyt w koszarach, najwięcej chłopaków wzięto z Wrocławia, bodaj trzydziestu jeden. Z Warszawy, o ile dobrze pamiętam, było piętnastu kleryków, wśród nich Popiełuszko. Tak. Jest październik roku 1966, przybywamy do Bartoszyc, zdajemy ubrania cywilne, strzygą nas, otrzymujemy mundury. Są trzy kompanie kleryków. Na kompanii drugiej w pierwszym plutonie znalazłem się wraz z dwoma kolegami, a w plutonie trzecim był Jurek Popiełuszko.

**MB:** Jak wyglądały początki służby wojskowej? Pamięta Ksiądz tamte wrażenia?

**Ks.AD:** Po pierwsze, zorientowaliśmy się, że wśród nas byli nie tylko klerycy. Najmniejszy zespół ludzi, liczący dwanaście osób, to drużyna. W drużynie było zawsze dwóch–trzech „obcych”. Dobierano ich specjalnie – albo młodych zaangażowanych partyjniaków, albo żulików mających coś na sumieniu. Mieli nas pilnować, czyli donosić dowódcom o wszystkim, co robimy. Typowa komunistyczna struktura oparta na kapusiach do tego stopnia, że nawet nasi dowódcy, wśród których zdarzali się przyzwoci ludzie, też byli zagrożeni wszechobecnym donoszeniem i żyli w strachu. Koszary zresztą są idealnym miejscem, w którym zamknięta społeczność trzyma się w ryzach i w lęku. Nieposłuszny nie wyjdzie na przepustkę i nie pojedzie na urlop.

Pierwszą akcją, którą wymyślili oficerowie polityczni, widząc, że wieczorem klękamy do wspólnej modlitwy, była próba wywarcia presji, byśmy tego zaniechali. Proszę wziąć pod uwagę fakt, że nie mogliśmy chodzić do kościoła, nie mieliśmy też żadnych wykładów, byliśmy klerykami wyrwanymi brutalnie ze studiów. Ale ich to nie obchodziło. Co dokuczliwego można zrobić takiemu żołnierzowi? Ano – ogłosić nocny alarm na przykład. Zasada jest taka: jeżeli do sali, w której śpią żołnierze, wchodzi przełożony lub oficer dyżurny, pierwszy, który go zauważy, ma obowiązek krzyknąć: „Baczność!” i zameldować oficerowi



o stanie osobowym i o tym, co się tam właśnie dzieje. Kiedy podczas naszej modlitwy przełożony wchodził do tzw. izby żołnierskiej, nikt mu raportu nie składał. No to wtedy się zaczynało – zbiórka na korytarzu i tak dalej...

**MB:** *Jak w tym wszystkim odnajdował się ks. Jerzy?*

**Ks.AD:** Dowódca plutonu, do którego przydzielono Jurka Popiełuszkę, to był człek tępy i prymitywny. Było w nim mało dobroci, a dużo złości. Upatrzył sobie Jerzego jako potencjalną ofiarę do nękania. Zrobił z niego pomocnika erkaemisty i ten biedny chudzielec musiał – oprócz własnego wyposażenia – taszczyć na poligon torbę z trzema wielkimi talerzami, magazynkami do erkaemu. Taki talerz wypełniony nabojami ważył jakieś pięć kilogramów, razy trzy, plus ekwipunek osobisty – na drobnego faceta to jest coś. Jurek musiał z tym czasami biec, czasem czołgać się, a dowódca miał niezłą zabawę. Kleryk Popiełuszko był wyraźnie „na celowniku” przełożonego, więc parokrotnie dostawał tzw. ZOK, czyli zakaz opuszczania koszar. Ja też to przeżyłem, ale na ks. Jerzego niewątpliwie się uwzieli.

**MB:** *A jak postrzegał go Ksiądz i inni koledzy? Był inteligentny, błyskotliwy?*

**Ks.AD:** Nie sprawiał wrażenia intelektualisty, nie wyróżniał się jakimiś szczególnymi walorami pod tym względem. Natomiast był przez nas postrzegany jako serdeczny, ciepły, bardzo życzliwy i koleżeński człowiek, na którego zawsze można liczyć. Podczas świąt Bożego Narodzenia ktoś wpadł na pomysł, by pójść z opłatkiem i życzeniami do naszych przełożonych. Wywiązała się gorąca dyskusja, jedni byli przeciwni, inni – za. Ostatecznie poszliśmy. Muszę dodać, że ks. Jerzy był wśród chcących składać życzenia świąteczne i złożył je, nawet temu prymitywnemu kapralowi, który go prześladował... Przypomniałem sobie jeszcze jedno – w niedzielę zabierano nas do klubu oficerskiego, do kina, na ogół na radzieckie filmy wojenne. Po drodze niektórzy chłopcy dyskretnie „znikali” i szli chyłkiem do kościoła. Natomiast ci, którym się to nie udało, organizowali małe grupki po trzech–czterech, czasem pięciu – nie więcej i w wolnej chwili przy pomocy mszalika czytali teksty całej Mszy Świętej. W tych grupkach wielokrotnie spotykałem się z Jurkiem Popiełuszką. Widać było, że on wiarę traktuje bardzo, bardzo serio. To jego cecha charakterystyczna. Wiele razem przeżyliśmy. Przypomnę: w Polsce trwały obchody milenijne, więc kiedy miały miejsce wielkie uroczystości kościelne gdzieś w pobliżu, na przykład w Olsztynie, Giętrzwadzie czy w Świętej Lipce, mieliśmy stan podwyższonej gotowości bojowej („nieprzyjacieli się zbliża”) i wysyłali nas do lasu



albo na poligon (śmiech). Kilku biskupów próbowało odwiedzić swoich studentów w Bartoszycach. Ale my byliśmy na poligonie i purpuraci odjeżdżali z kwitkiem, jak nasz biskup Latusek. Tylko Karol Wojtyła przechytrzył armię. Kiedy się dowiedział, że kleryków nie ma, pojechał do miejscowego proboszcza. Podczas ich rozmowy przybiegł ministrant i powiedział, że księża wracają z poligonu. No to kardynał Wojtyła przyjechał ponownie do koszar i doszło do spotkania, ale tylko z klerykami z Krakowa. Reszta mogła to obserwować z daleka.

**MB:** *Wróćmy do ks. Jerzego i Waszej wzajemnej relacji.*

**Ks.AD:** Wiele razem rozmawialiśmy, pomagaliśmy sobie i w ten sposób tworzyły się zręby przyjaźni. Ktoś, kto nigdy nie był w wojsku, nie zrozumie, jak to bardzo łączy ludzi. Nawet wiele lat potem, gdy się spotyka kumpla z woja, od razu powraca wspólny język. Gdyby jednak wtedy ktoś mnie spytał, czy mam świadomość, że obok mnie jest przyszły kandydat na ołtarze, nie uwierzyłbym. Już po wojsku mieliśmy wspólne rekolekcje na Jasnej Górze, potem przez lata utrzymywaliśmy kontakt, od czasu do czasu się widując. Odwiedziłem go, kiedy pracował w kościele św. Anny jako duszpasterz akademicki, spotkaliśmy się podczas pierwszej pielgrzymki papieża do Polski. To była radość, nie ma pan pojęcia. Wcześniej, w roku 1974, podczas moich studiów w Warszawie widywaliśmy się parokrotnie. Krótko mówiąc, tych spotkań uzbierało się sporo. Ostatnie najbardziej mi zapadło w pamięć i w serce, ponieważ rzeczywiście okazało się ostatnie, ale o tym później. Trwał stan wojenny, o sobie wiedzieliśmy dużo. Byłem zaangażowany w Duszpasterstwo Akademickie „Pod Czworką”, w działalność Arcybiskupiego Komitetu Charytatywnego, przewodniczyłem Mszy Świętej we wrocławskiej katedrze, w miesiąc po ogłoszeniu stanu wojennego, podczas której ks. Mirosław Drzewiecki wygłosił fantastyczne kazanie. Kiedy później spotkaliśmy się z ks. Jerzym, wyznał mi, że zapożyczył spory fragment kazania Mirka Drzewieckiego na swoje potrzeby i prosił, bym podziękował koledze. Co mu szczególnie w tym kazaniu przypadło do gustu? Ano to, że dotyczyło konkretów, a jednocześnie podczas Mszy zostało wypowiedziane w formie skargi – modlitwy do Pana Boga. To Jurkowi odpowiadało, ponieważ przez dom rodzinny został ukształtowany w myśl zasady „zło dobrem zwyciężaj”.

W stanie wojennym widzieliśmy się parokrotnie. Warszawa organizowała spotkanie Arcybiskupich Komitetów Charytatywnych, a obaj byliśmy w tę działalność zaangażowani. Chcę powiedzieć, że nie tyle był to bunt przeciw wprowadzeniu

Kopertówka, „Jeżeli zapomnimy o nich – Ty, Boże zapomnij o nas”, 1985 r., zbiory Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

stanu wojennego, ile nasz sprzeciw, a jeszcze bardziej chęć niesienia pomocy ludziom poniżanym i represjonowanym – po prostu chrześcijański odruch. Nasze ostatnie spotkanie miało miejsce pod koniec sierpnia roku 1984, po pielgrzymce do Częstochowy. Wtedy odwiedziłem Jerzego w jego mieszkaniu w Warszawie, mieliśmy jakieś półtorej godziny na rozmowę. To już było po licznych kampaniach prasowych, kiedy władza i partyjne media obrzucały go błotem. Mówiłem: „Jurek, ty wyrastasz na bohatera”, a on na to: „Stary, zobacz, co oni ze mną robią, jak plują i jątrzą, a ja inaczej nie mogę postępować. Jak oni mogą tak obrzydliwie opisywać Mszę Świętą albo opiekę nad prześladowanymi? Przecież tym ludziom trzeba pomagać”. Opowiadał o tym, jak do strajkujących robotników Huty Warszawa wysłał go kard. Stefan Wyszyński. Ks. Jerzy przywitany został oklaskami i pomyślał, że ktoś ważny za nim wchodzi. W swojej skromności nie przypuszczał, iż są to owacje dla niego. Władzę rozwścieczała jego popularność, troska o represjonowanych i skazanych, obecność na salach rozpraw, Msze za Ojczyznę, kazania etc. Miał tę świadomość. Często wzywała go bezpieka na przesłuchania, które – jak wiemy – do najprzyjemniejszych nie należały. I ten drobny, ale wielki duchem, kapłan nigdy się nie załamał. Myślę, że to podczas służby wojskowej Pan Bóg nauczył go przewycięzać lęk i strach. Ks. Jerzy mocno wierzył w opiekę Opatrzności – kiedy „nieznani sprawcy” wrzucili mu cegły z ładunkiem wybuchowym do domu i doszło do detonacji, jemu nic się nie stało, ale już wiedział, że istnieje poważne niebezpieczeństwo. Mówił mi, jakie otrzymuje listy z ordynarnymi pogrózkami, potem była próba zamachu na jego samochód. Spytałem, czy się nie boi o życie. „Co oni mogą mi zrobić? Mogą mnie tylko zabić” – odparł. Rozstaliśmy się. Krótco potem został uprowadzony i zamęczony przez funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa.

**MB:** *Pamięta Ksiądz chwilę, w której dowiedział się o porwaniu ks. Popiełuszki?*

**Ks.AD:** Tak, spotkałem się wówczas z najbliższymi współpracownikami – ks. Aleksandrem Zienkiewiczem i ks. Mirosławem Drzewieckim. Byliśmy pełni złych przeczuć, zwłaszcza po poprzedzającej to uprowadzającej to uprowadzającej medialnej nagonce. Przypominam sobie taką dziwną sytuację – miałem zapalić w domu świecę. Nie wiem, dlaczego ustawiłem obok zdjęcie ks. Jerzego, a świeca cały czas się paliła. Towarzystwo mi natrętnie przekonanie, że ja Jurka więcej żywego nie zobaczę.

**MB:** *A kiedy już znaleziono zwłoki?*

**Ks.AD:** Wspominałem, że miałem jak najgorsze przypuszczenia co do losów mego przyjaciela. Byliśmy z ks. Drzewieckim na pogrzebie, tam spotkałem kolegów Jurka i moich z wojska. Jeden z nich opowiadał, że kiedy Jerzego przywieziono w trumnie i trwało całonocne czuwanie, to wbrew zakazowi przyjaciele tę trumnę otwarli. Ciało księdza było nieprawdopodobnie zmasakrowane. Z kolei od brata ks. Jerzego, Józefa, wiem (bo on identyfikował ciało), że gdyby nie charakterystyczna blizna na klatce piersiowej, nie byłby w stanie go rozpoznać, a więc bestialstwo oprawców nie miało granic. Ciężko mówić, że zabili mi przyjaciela i – w pewnym sensie – brata, boć to przecie kapłan, ale jednocześnie dziękuję Bogu za jego odwagę, za niezwykłą moc ducha. Dla mnie to fenomen i przyznam się, iż parę razy przeżywałem wielkie wzruszenie, gdy w kilku kościołach sprawowałem Mszę Świętą, głosiłem Słowo Boże i wprowadzałem relikwie błogosławionego księdza Jerzego. I jeszcze jedno – od dnia pogrzebu, rokrocznie, koledzy z jednostki kleryckiej w Bartoszycach spotykają się regularnie przy jego grobie.

Paweł Skrzywanek, Kamilla Jasińska

## Blaski i cienie „rektorowania”

w czasie stanu wojennego,  
czyli o Józefie Łukaszewiczu

**„Chciałem tylko własnym przykładem pokazać, że w trudnych sytuacjach ludzie nie powinni się uchylać od gotowości służby społecznej, a tytuł profesora uniwersytetu zobowiązuje do pełnego zaangażowania w sprawy swojej *Alma Mater*” – wspominał prof. Józef Łukaszewicz. Był rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego w trudnym czasie początków stanu wojennego i nie dane mu było ukończyć kadencji rozpoczętej wraz z początkiem września 1981 r.**

Był rok 1981. Trwał karnawał „Solidarności”. Polskie społeczeństwo po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej mogło korzystać – choć jeszcze w ograniczonym zakresie – ze swobód właściwych demokratycznemu państwu. Momentem wyjątkowym dla wrocławskiej *Alma Mater*, czyli Uniwersytetu Wrocławskiego, była możliwość przeprowadzenia wiosną 1981 r. demokratycznych wyborów nowych władz rektorskich. Zgoda na taką procedurę wyboru była wypełnieniem 13. postulatu porozumień sierpniowych. Przedstawiciele wrocławskiego środowiska naukowego od początku strajku, który 26 sierpnia 1980 r. rozpoczął się w zajezdni autobusowej nr VII przy ul. Grabiszyńskiej we Wrocławiu, znaleźli się w grupie doradców strajkujących robotników. Później powołaniem komisji zakładowej NSZZ „Solidarność” na Uniwersytecie Wrocławskim kierowali m.in. Jerzy Czyżewski, Aleksander Labuda i Adolf Juzwenko.

### Długa droga do fotela rektorskiego

Wraz z końcem sierpnia 1981 r. kończyła się kadencja władz rektorskich Uniwersytetu Wrocławskiego. Rektorem był prof. Kazimierz Urbanik, matematyk. Ostatni rok dla ustępujących władz nie był łatwy, atmosfera na Uniwersytecie nie odbiegała bowiem od nastrojów społecznych w kraju. Nauczyciele i studenci z wielkim zaangażowaniem walczyli o prawne i rzeczywiste poszerzenie autonomii i niezależności uczelni oraz potencjału naukowego. Nawet ustępujące polityczne władze rektorskie dały temu wyraz w przemówieniu inauguracyjnym nowego roku akademickiego 1980/1981. Na Uniwersytecie Wrocławskim wiecowano i strajkowano. Decyzją rektora w pracach ustępującego Senatu brali udział przedstawiciele uczelnianej Komisji Zakładowej „Solidarności”, jak i Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Wiosną 1981 r. środowisko akademickie zaczęło przygotowania do wyboru nowych władz rektorskich. W marcu udało się doprowadzić do przywrócenia



Portret rektorski Józefa Łukasiewicza namalował wrocławski artysta plastyk Ryszard Jędrak. Rektor został sportretowany w todzie i z kompletem insygniów władzy rektorskiej będących w użyciu od 1968 r. Fot. za: [www.mbd.muzeum.uni.wroc.pl](http://www.mbd.muzeum.uni.wroc.pl)

na uczelnię m.in. prof. Stanisława Hartmana, matematyka wyrzuconego z Uniwersytetu w 1968 r., oraz prof. Mirosławy Chamcówny, historyk oświaty relegowanej z uczelni za wsparcie i pomoc robotnikom w 1976 r. W tym samym czasie Uniwersytetem wstrząsnęła informacja o zabójstwie prof. Henryka Zielińskiego, historyka. Również tzw. kryzys bydgoski i zapowiedź strajku generalnego nie sprzyjały spokojnej dyskusji o przyszłości Uniwersytetu.

W prezydium Komisji Zakładowej „Solidarności” zaczęła dominować opinia, że kandydatem na nowego rektora musi być osoba posiadająca umiejętność łagodzenia sporów, o nieposzlakowanym autorytecie moralnym i naukowym. Dyskusje wśród działaczy „Solidarności” doprowadziły do wskazania jako kandydata prof. Józefa Łukasiewicza, 54-letniego wówczas matematyka. Prośbę o kandydowanie złożyli profesorowi członkowie prezydium uczelnianej „Solidarności”, m.in. historyk Adolf Juzwenko i romanista Aleksander Labuda. Profesor jednak odmówił.

Profesor Józef Łukasiewicz urodził się 26 marca 1927 r. na Polesiu w miejscowości Duboja w powiecie Pińskim (obecnie Biały Bór). Jego kresowy życiorys naznaczony był opowieścią o tajnym nauczaniu, konspiracji i służbie w 7. Wileńskiej Brygadzie Armii Krajowej, aresztowaniu w 1944 r., wywiezieniu do Kaługi i powrocie do Polski. Tutaj jego drugim domem stał się Wrocław, a początkiem nowej powojennej drogi były studia matematyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Z uczelnią zawodowo związał się w 1955 r. Był wybitnym matematykiem, uczniem znanego lwowskiego matematyka prof. Hugona Steinhausa. Specjalizował się m.in. w zakresie statystyki matematycznej, teorii gier i programowania liniowego. Pod koniec lat 50. XX w. był współzałożycielem wrocławskiego oddziału Klubu Inteligencji Katolickiej. Przez wiele lat udzielał się jako animator tego środowiska.

Kiedy przedstawiciele uczelnianej „Solidarności” przyszli do niego z propozycją kandydowania na stanowisko rektora, miał już pozycję uznanego uczonego. Jego bliska współpracowniczka, prof. Aleksandra Kubicz, biochemik, wspomina, że argumentem, który przeważał nad przyjęciem propozycji kandydowania, było głębokie poczucie odpowiedzialności za losy uczelni. Wyrażając zgodę na kandydowanie, prof. Łukasiewicz uznał jednak, że wybór powinien być demokratyczny, dlatego powinien mieć kontrkandydata. Ten postulat okazał się równie trudny do zrealizowania, co przekonanie profesora do kandydowania. Po długich poszukiwaniach i pertraktacjach na konkurencyjne kandydowanie zgodziła się prof. Bronisława Morawiecka, biochemik i enzymolog. To był ważny gest o charakterze symbolicznym.

Profesor Józef Łukasiewicz został wybrany rektorem 3 czerwca 1981 roku. Tydzień później wybrano prorektorów, którymi zostali: prof. Wojciech Wrzesiński, doc. Aleksandra Kubicz, doc. Franciszek Połomski i doc. Bogdan Siciński. Co znamienne, działacze „Solidarności” zaproponowali funkcje prorektorskie działaczom partyjnym, których dotychczasowa praca nie była elementem krytyki i podważaniem idei samorządności i niezależności uczelni. Członkiem



Rektor Józef Łukasiewicz (stoi u góry) wraz z prorektorami (siedzą od lewej: prof. Wojciech Wrzesiński, prof. Aleksandra Kubicz, prof. Bogdan Siciński, prof. Franciszek Połomski) podczas jednej z uroczystości akademickich w Auli Leopoldyńskiej w roku akademickim 1981/1982. Fot. ze zbiorów Archiwum Uniwersytetu Wrocławskiego

komunistycznej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR) był prof. Wrzesiński, zaś członkiem satelickiego wobec PZPR Stronnictwa Demokratycznego (SD) – prof. Siciński. „Razem tworzyliśmy zgrany zespół. Mogłem zawsze polegać na ich obiektywnych sądach, doświadczeniu w zarządzaniu uczelnią i umiejętności pracy z ludźmi” – wspominał rektor. Wybór nowych władz rektorskich wzbudził niepokój władz komunistycznych szczebla centralnego. Profesor Marian Orzechowski, sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, a wcześniej, w połowie lat 70. XX w., rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, ocenił go jako akt wrogi wobec socjalizmu.

Nowe władze rektorskie objęły swoje funkcje 1 września 1981 r. Wtedy też pracę rozpoczęły nowe władze dziekańskie. Jak wspominał po latach rektor Łukasiewicz, „pięciu dziekanów: Adam Chełmoński, Tadeusz Krupiński, Jan Mozrzyk, Roman Sobol i Juliusz Ziomecki w pełni zdało egzamin z kierowania wydziałami podczas tej trudnej kadencji i zawsze harmonijnie współpracowało z Kolegium Rektorskim”.

### Razem dla dobra uczelni

Jak wspominał rektor Łukasiewicz, już od pierwszych dni jego kadencji „niemalże cała społeczność akademicka była zintegrowana w rzetelnej trosce o dobro uczelni i niemal jednomyślna w walce o pełną autonomię Uniwersytetu”. Autonomia i zagwarantowanie realnych budżetów uczelniom oraz rozwój nauki stanowiły naczelną postulatami środowiska akademickiego. Nie unikano także działań politycznych.

Inauguracja nowego roku akademickiego odbyła się 1 października 1981 r. Co ciekawe, decyzją samego rektora była to pierwsza inauguracja, na którą zaproszono przedstawicieli różnych wyznań. Przemówienie nowego rektora



Profesor Józef Łukasiewicz przemawiający jako były rektor podczas Święta Uniwersytetu Wrocławskiego, Aula Leopoldyńska, 15 listopada 1996 r. Fot. ze zbiorów Archiwum Uniwersytetu Wrocławskiego

koncentrowało się wokół potrzeby koniecznych zmian w szkolnictwie wyższym, zagwarantowania autonomii Uniwersytetu oraz wolności zdobywania wiedzy i swobody badań naukowych. Jak wspominała prof. Aleksandra Kubicz, zabawnym epizodem tej inauguracji była pewna propozycja złożona rektorowi Łukaszewiczowi krótko przed rozpoczęciem roku akademickiego przez ówczesną wicewojewodę wrocławską Danutę Wielebińską. Zadeklarowała ona, że wobec braków rynkowych może przeznaczyć dodatkowe przydziały na alkohol dla studentów. W tamtym czasie znaczna część produktów spożywczych – w tym alkohol – była sprzedawana w systemie reglamentacji, czyli „na kartki”. Rektor Łukaszewicz nie przyjął tej propozycji, ostro wyrażając swój zdecydowany sprzeciw wobec takiego postępowania władz wojewódzkich.

Początek kadencji rektora Józefa Łukaszewicza to także czas nawiązania żywych kontaktów z innymi uniwersytetami w Polsce. Szybko powstała Konferencja Rektorów Uniwersytetów. Takie międzyuczelniane działania nie były mile widziane przez kierownictwo resortu i władze partyjne.

### W cieniu konfliktów, strajków i stanu wojennego

Kilkanaście pierwszych tygodni prac uczelni i rektora Józefa Łukaszewicza upłynęło w atmosferze nacisku spowodowanego sytuacją społeczną i polityczną w kraju. Pierwsze strajki studenckie nastąpiły krótko po inauguracji roku akademickiego 1981/1982. Pod koniec listopada rozpoczął się solidarnościowy strajk studentów pod hasłem poparcia dla strajku radomskiego. Na Uniwersytecie Wrocławskim dało się odczuć różnice zdań między studenckim NZS a pracowniczą „Solidarnością”. „Należy podkreślić wielką dojrzałość i odpowiedzialność kierownictwa strajków i wszystkich uczestników w trosce o uniknięcie sytuacji niekontrolowanych i zagrożenia strajkujących



Profesor Józef Łukaszewicz podczas V Pieszej Pielgrzymki Wrocławskiej na Jasną Górę, sierpień 1985 r. Fot. Marcin Gruszecki / ze zbiorów archiwum Pieszej Pielgrzymki Wrocławskiej

studentów” – wspominał rektor, dodając, że ostatnie strajki zakończyły się 13 grudnia nad ranem, tuż przed tym, gdy nadeszła tragiczna wiadomość...

Wprowadzenie 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego, mimo bardzo napiętej sytuacji, było dla środowiska uczelnianego dużym zaskoczeniem. Jak wspomina prof. Aleksandra Kubicz, tego dnia wcześniej rano została obudzona przez kuriera, którego przysłał rektor Łukaszewicz. Udała się do gmachu głównego na pl. Uniwersytecki. Na nią oraz na pozostałych prorektorów czekał tam już rektor Łukaszewicz. W pierwszych godzinach najważniejszą sprawą było zapanowanie nad funkcjonowaniem uczelni w realiach „komunistycznego zamachu stanu”. Nieocenieni okazali się uniwersyteccy prawnicy – prorektor doc. Franciszek Połomski oraz dziekan Wydziału Prawa prof. Adam Chełmoński. W gmachu głównym Uniwersytetu kilkudziesięciu pracowników i studentów podjęło próbę organizacji strajku okupacyjnego w proteście przeciwko zamachowi stanu, licznym internowaniom i innym ograniczeniom praw obywatelskich. Na czele strajku stanął doc. Ludwik Turko, przewodniczący uniwersyteckiej „Solidarności”. Jak wspominał prof. Łukaszewicz, „także tu panował wzorowy porządek i zdecydowany spokój”.

W nocy z 14 na 15 grudnia siły milicyjne i służby bezpieczeństwa przystąpiły do pacyfikacji strajku. Dzięki sprytności wieloletniego pracownika technicznego i palacza centralnego ogrzewania Piotra Kaczyńskiego dużą część strajkujących udało się bezpiecznie ukryć, a nad ranem niepostrzeżenie wyprowadzić z budynku. W gmachu pozostały m.in. władze rektorskie pełniące ciągły dyżur. Gdy milicjanci weszli po rusztowaniach i po wybijeniu okien gwałtownie wtargnęli do budynku, rektor spokojnie zapytał oficera: „Dlaczego panowie nie zapukali? Po prostu zszedłbym na dół i otworzył drzwi”. Dowodzący pacyfikacją strajku oficerowie zezwolili rektorowi

Łukaszewiczowi oraz doc. Połomskiemu na pozostanie w głównym gmachu uczelni. Po latach Połomski wspominał, że nigdy, nawet w najśmielszych snach, nie spodziewał się, że będzie spał z rektorem pod stołem w sali Senatu. Natychmiast przystąpiono do działań mających na celu określenie liczby osób aresztowanych i internowanych przez wojskowe władze okupacyjne. Przygotowano także pierwsze listy rodzin potrzebujących pomocy. Wyzwaniem było przygotowanie przepustek i listy osób, które musiały przebywać na terenie uczelni, wydanie zaświadczeń studentom, którzy wobec zawieszenia roku akademickiego musieli pozostać w domach, a studenci zamieszczeni musieli opuścić akademiki. W poniedziałek, 14 grudnia tłumnie oblegali oni gmach główny, bo do godz. 15.00 należało im wydać zaświadczenia, bez których nie mogli wyjechać do swoich domów, gdyż obowiązywał zakaz opuszczania miasta. Profesor Aleksandra Kubicz wspomina, że bezcenny okazał się wówczas pozostający na wyposażeniu Instytutu Biochemii jeden z nielicznych komputerów, który szczęśliwie ocalał po akcji konfiskacyjnej, przeprowadzonej przez służby bezpieczeństwa. „Solidarność środowiska akademickiego była wówczas niezwykła. Każdy, kto tylko mógł i miał na czym pisać, pisał te zaświadczenia” – wspominała. Akcja przygotowywania niezbędnych zaświadczeń zakończyła się bardzo szybko i już 16 grudnia wszystkie akademiki zostały opuszczone.

Tego samego dnia odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Senatu Uniwersytetu Wrocławskiego. Gdy do wypełnionej już Sali Senatu wszedł rektor Łukaszewicz wraz z płk. Jerzym Lewińskim, który został upoważniony przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego (WRON) jako komisarz wojskowy na Uniwersytecie, rektor wskazał komisarzowi swoje miejsce. Pułkownik Lewiński odmówił i w obecności wszystkich senatorów powiedział, że zna swoje miejsce, po czym usiadł tam, gdzie zwykle siedział podczas wszystkich poprzednich posiedzeń. Był to gest symboliczny, pokazujący, jakim szacunkiem darzony był rektor Łukaszewicz.

Posiedzenie Senatu z 16 grudnia 1981 r. zajmuje bardzo ważne miejsce w historii Uniwersytetu Wrocławskiego. Odbyło się, mimo iż obowiązywał wówczas zakaz zgromadzeń. Senat przyjął uchwałę protestującą wobec wprowadzenia stanu wojennego. Wobec zaistniałej sytuacji paradoksem okazało się przyjęcie sprawozdania z wyników referendum dotyczącego zmiany i usunięcia patrona uczelni, Bolesława Bieruta. Z blisko 7000 osób, które wzięły udział w głosowaniu, zaledwie 527 opowiedziało się za pozostawieniem „patrona”. Uwzględniwszy te wyniki, Senat podjął uchwałę i poprosił ministra szkolnictwa, aby ten wystąpił do Rady Ministrów o zmianę nazwy uczelni. Minister zignorował tę uchwałę, nie nadając jej dalszego biegu.

Drugie od czasu wprowadzenia stanu wojennego posiedzenie Senatu odbyło się 13 stycznia 1982 r. Prorektor Aleksandra Kubicz miała na nim przedstawić materiały i stan przygotowań do wznowienia roku akademickiego. Jak wspomina, nie posiadała żadnych danych, ani nawet możliwości, aby takie informacje zdobyć i rzetelnie przekazać. Jej wystąpienie, skierowane do komisarza wojskowego, było świadomą konfabulacją i pełną improwizacją. W rzeczywistości takie raporty jednak nie istniały... Dziekani okazali wówczas swoją klasę i solidarność, gdyż zaledwie po godzinie od zakończenia obrad Senatu, wszystkie raporty – zapewne również będące pełną improwizacją – pojawiły się na biurku

prorektor. Jak wspomina prof. Kubicz, płk Lewiński bez jakiegokolwiek lektury wrzucił je na dno biurka.

### **Pomóc odzyskać wolność**

Władze rektorskie na czele z rektorem Łukaszewiczem miały pełną świadomość powagi sytuacji. Były informowane o tym, że zdelegalizowane dekretem o stanie wojennym NSZZ „Solidarność” i studencki NZS przeszły do działań konspiracyjnych. W pierwszych dniach stanu wojennego aresztowano lub internowano około stu osób. Blisko jedna trzecia członków partii komunistycznej na uczelni (PZPR) w akcie protestu „rzuciła legitymacjami”. Tak uczynił m.in. prorektor prof. Wojciech Wrzesiński. Struktury partyjne na Uniwersytecie Wrocławskim przestały funkcjonować.

Jako działacz społeczny i katolicki prof. Józef Łukaszewicz od początku brał udział w pracach Arcybiskupiego Komitetu Charytatywnego. Rektor na wielu szczeblach angażował się w udzielanie pomocy osobom zatrzymanym i ich rodzinom, czynił starania o uwolnienie z aresztu lub internowania aresztowanych pracowników i studentów, starał się nie dopuścić do zwolnienia z uczelni ukrywających się pracowników, dążył do uruchomienia zawieszonych zajęć dydaktycznych. Osobiście interweniował i wraz z dziekanem Janem Mozrzymasem prosił o zwolnienie m.in. doc. Ludwika Turki, który z obozu internowania w Nysie został przewieziony do więzienia w Strzelcach Opolskich. Podobnie, uzasadniając to względami humanitarnymi, prosił o zwolnienie kobiet, w tym np. doc. Krystyny Bukietyńskiej.

### **Przerwana kadencja**

Rok akademicki został wznowiony w połowie lutego 1982 r. Komunistyczne władze wojskowe zezwoliły także na reaktywowanie proreżimowych struktur partyjnych i studenckich. Te organizacje zaczęły swoją działalność od mocnego ataku na władze rektorskie. Wydarzenia z wiosny i lata 1982 r. wskazywały jednoznacznie, że dni demokratycznej ekipy rektorskiej pod wodzą rektora Józefa Łukaszewicza są już policzone. Sygnałem do czystek była zapowiedź weryfikacji, czyli ministerialnego przeglądu młodszych pracowników nauki i wstrzymanie nadawania stopni naukowych, w tym także profesorskich. Aktyw partii komunistycznej na swoich posiedzeniach podkreślał, że następuje upadek środowiska naukowego, a winę za ten stan ponoszą władze uczelni, jawnie wspierające przeciwników stanu wojennego.

Latem 1982 r. wszystko było już jasne. Dnia 16 sierpnia do Wrocławia przybył wiceminister szkolnictwa wyższego Sablik. Najpierw spotkał się z kierownictwem wojewódzkim partii komunistycznej, a następnie udał się na spotkanie z rektorem Łukaszewiczem. Sablik oświadczył rektorowi, że ten utracił zaufanie władz wojskowych, politycznych i państwowych, dlatego proszony jest o złożenie dymisji. Rektor Łukaszewicz odparł mu, że nie poda się do dymisji, gdyż przede wszystkim nie utracił zaufania swoich wyborców, czyli społeczności akademickiej. Wówczas wiceminister wyjął z teczki i wręczył rektorowi Łukaszewiczowi przygotowane już wcześniej pismo z natychmiastowym odwołaniem z pełnionej funkcji. Na znak protestu wobec tej decyzji swoje urzędy prorektorów złożyli wszyscy członkowie Kolegium Rektorskiego.

Jeszcze tego samego dnia minister Sablik wręczył akt powołania na rektora prof. Henrykowi Ratajczakowi, chemikowi. W takich okolicznościach zakończył

## Niespokojna jesień 1956 r. na Dolnym Śląsku

Październik i listopad 1956 r. były okresem największej – po przynębiających latach przymusu, terroru i strachu – aktywności społeczeństwa na każdym niemal polu. Powiew nadziei związany ze zmianami w polityce najwyższych władz politycznych i państwowych, których symbolem był triumfalny powrót Władysława Gomułki na stanowisko I Sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, dotarł również na Dolny Śląsk.



Józef i Janina Danuta Łukasiewiczowie. Fot. ze zbiorów rodziny Łukasiewiczów

się blisko roczny czas funkcjonowania pierwszych po wojnie demokratycznie wybranych władz rektorskich we Wrocławiu. Jak wspominała Maria Łukasiewicz-Chantry, nowy rektor, prof. Ratajczak, pytał prof. Łukaszewicza, jej ojca, co ma robić jako rektor, na co ten mu odpowiedział: „Niech pan przede wszystkim broni ludzi – pracowników i studentów”.

Kadencja rektora Józefa Łukaszewicza i jego współpracowników trwała „aż” 11 miesięcy i 16 dni. W powojennej historii Uniwersytetu Wrocławskiego była to kadencja najkrótsza, a jednocześnie najbardziej dramatyczna.

Po odwołaniu z funkcji rektora prof. Józef Łukaszewicz nie zaprzestał swojej działalności na rzecz potrzebujących, choć robił to już w nieco inny sposób. W latach 1981–1984 należał do Prymasowskiej Rady Społecznej, a do 1991 r. był przedstawicielem ds. świeckich w Synodzie Archidiecezji Wrocławskiej. Nadal prowadził aktywną działalność naukową i dydaktyczną. Zawsze był silnym, moralnym oparciem dla pracowników i studentów uczelni. Właśnie dlatego w 1988 r. został członkiem Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność”. Działał także w podobnym wrocławskim gremium, biorąc udział w przygotowaniach do wyborów z 1989 i 1990 r. W 2011 r. został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce”.

### „My chcemy światła”

Pierwszym symptomem nowych czasów była demonstracja studencka, do której doszło we Wrocławiu 4 października 1956 r. W chwili, gdy po raz kolejny zgasły światła w akademikach na placu Grunwaldzkim, około 300 studentów wyszło na ulicę „i przy płonących pochodniach sporządzonych z gazet wznosili okrzyki: „My chcemy światła”, „Niech żyje światło”. Studenci sformowali pochód i ruszyli przez most Grunwaldzki w stronę gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej, wykrzykując hasła oraz śpiewając „modne piosenki i pieśni rewolucyjne”. Żaden przedstawiciel władzy nie ośmielił się wyjść do manifestantów, więc gdy w budynku zgasły ostatnie światła, po 20 minutach pochód oświetlony przez 70 pochodni udał się przez ulicę Słowackiego w kierunku Podwala. Przy okrzykach: „Dołączajcie do nas”, „Dołączajcie do studentów” tłum urosł do co najmniej 600 osób; przyłączyło się do nich – jak z oburzeniem skonstatowali przedstawiciele władz porządkowych w swoim raporcie – „40 prywatnych taksiarzy”. Manifestacja zatrzymano na wysokości budynku mieszczącego redakcję „Gazety Robotniczej”. Ulicę przegrodziło 60 milicjantów zebranych w trybie alarmowym. Funkcjonariuszy wspierały radiowozy, więźniarka i dwa milicyjne „gaziki”. Z wezwaniem do rozejścia się wystąpił zastępca Komendanta Wojewódzkiego MO major Urbański, obiecując zarazem przywrócenie dostaw energii elektrycznej do akademików. Blokada milicyjna poskutkowała. Manifestanci zaczęli się rozchodzić. W tym momencie do akcji wkroczyło kilkunastu milicjantów ubranych po cywilnemu, którzy zatrzymali 12 uczestników pochodu. Większość stanowili studenci Politechniki Wrocławskiej, głównie Wydziału Mechanicznego i Wydziału Chemii. Wśród zatrzymanych i wypuszczonych po przesłuchaniu młodych ludzi był także student prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. W demonstracji tłumnie uczestniczyli członkowie Związku Młodzieży Polskiej. Fakt ten posłużył za pretekst do rozwiązania przez Zarząd Miejski ZMP władz uczelnianych tej organizacji.

### Demonstracje we Wrocławiu 22–23 października 1956 r.

W oczekiwaniu na wieści z Warszawy, z odbywających się tam nadzwyczajnego Plenum KC PZPR oraz rozmów nowego kierownictwa partyjnego na czele z Władysławem Gomułką z delegacją radziecką, kierowaną przez Nikitę Chruszczowa, studenci Wrocławia zwołali wielki wiec w ratuszu. Atmosfera była napięta – krążyły wiadomości o stanie alarmowym w wojsku. W przyjętej rezolucji protestowano przeciwko „wszelkim próbom ingerencji w wewnętrzne sprawy naszej partii i naszego kraju”, żądano usunięcia z władz partii czołowych „natolińczyków” (m.in. Hilarego Chełchowskiego z Wrocławia), ograniczenia cenzury; oprócz poparcia części kierownictwa partii i rządu, zapewniono o gotowości obrony socjalizmu i suwerenności Ojczyzny.

W poniedziałek, 22 października 1956 r. pracownicy zakładów i studenci wrocławskich uczelni gromadzili się spontanicznie na masówkach, by dać wyraz odczuciom – ulgi, radości, nadziei, ale też niepokoju o to, jaka będzie postawa Związku Radzieckiego. Demonstrowano jedność społeczeństwa polskiego. Na wiec w Zakładach M-5 przybyli aktorzy wrocławskiego Państwowego Teatru Dramatycznego. W Auli Leopoldina na Uniwersytecie Wrocławskim obok pracowników naukowych i studentów obecne były delegacje robotników z Pafawagu, Archimedesu i Wrocławskich Zakładów Włókien Sztucznych. Na Politechnice Wrocławskiej po sekretarzu Komitetu Uczelnianego PZPR towarzyszu Porębskim przemawiał przedstawiciel „młodzieży katolickiej Uniwersytetu”. W rezolucji przyjętej na uniwersytecie wyrażano poparcie dla nowego kierownictwa partyjnego, żądano oparcia sojuszu z ZSRR „na zasadzie pełnej suwerenności obu krajów i nieingerencji wzajemnej”. Protestowano przeciwko niektórym artykułom prasy radzieckiej o Polsce i wzywano do odwołania korespondenta „Prawdy” z Warszawy, występowano wreszcie przeciwko „wszelkim przejawom nacjonalizmu”. Na spotkaniach podnoszono też kwestie lokalne – m.in. domagano się odwołania z funkcji Przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej Hilarego Chełchowskiego, uważanego za skompromitowanego eksponenta dawnej ekipy.

Kulminacyjnym momentem tego gorącego dnia był wiec rozpoczęty o godzinie 17.00 przed gmachem głównym politechniki. Zgromadził kilkanaście tysięcy (według ocen władz bezpieczeństwa dziesięć tysięcy) uczestników – młodzieży studenckiej ze wszystkich szkół wyższych Wrocławia oraz robotników wielkich zakładów przemysłowych. W rezolucji uchwalonej w trakcie wiecu żądano ograniczenia kompetencji cenzury, ujawnienia ustaleń międzynarodowych umów gospodarczych i treści rozmów z przedstawicielami kierownictwa radzieckiego w Warszawie, zaprzestania zagłuszania rozgłośni zachodnich. Potępiano oszczercze informowanie społeczeństwa radzieckiego przez prasę radziecką. Podnoszono konieczność zajęcia przez kierownictwo polityczne stanowiska w sprawie „celowości dalszego pobytu wojsk radzieckich na terenie naszego państwa”. Wzywano do wyjaśnienia kwestii puczu wojskowego przygotowywanego przez konserwatywne skrzydło kierownictwa partyjnego, odsunięcia skompromitowanych działaczy od władzy, ukarania winnych łamania praworządności, odnowy ruchu młodzieżowego poza strukturami ZMP. Radykalizmowi rezolucji odpowiadał poziom emocji. Padały żądania wyjaśnienia okoliczności mordu w Katyniu, skandowano: „Rokossowski spadaj z Polski”, a nawet „Polska dla Polaków”.



Znaczek pocztowy upamiętniający Poznański Czerwiec 1956 r. Niezależna Oficyna Studencka, zbiory Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

Po wiecu pochód demonstrantów, który w międzyczasie urósł do 15–20 tysięcy, ruszył przez miasto. Niesiono flagi narodowe i pochodnie, śpiewano – jak pisano w jednym z raportów milicyjnych – nie tylko hymn narodowy, *Międzynarodówkę*, ale i *Boże coś Polskę* oraz *Rotę*. Pojawiały się, jak określono to później oględnie w prasie, „wrogie okrzyki”. Pochód rozdzielił się na Rynku. Część manifestantów poszła w kierunku Dworca Głównego. Około godz. 21.00 przed dworcem pojawiła się kolejna, bardziej radykalna grupa. Spaliła czerwone flagi, zdemolowała gabloty wystawy z okazji „Miesiąca Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”. Szczególnie zawzięcie polowano na portrety Rokossowskiego, które palono przy powszechnym aplauzie. Zniszczono też gabloty przed siedzibą Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (obecnie mieści się tam Teatr Lalek) i wybito kamieniami szyby. Zrywano tabliczki z nazwami ulic Stalina (wkrótce Jedności Narodowej) – od mostu Uniwersyteckiego aż do ul. Poniatowskiego i Stalingradzkiej (teraz Świdnickiej). Zatrzymywano tramwaje, wygaszano w nich światła, ściągano pałaki. Atmosfera antykomunistycznej rewolty ogarnęła miasto. Grupa demonstrantów,



idąca ulicą Słowiańską, wykrzykująca: „Rokossowski uciekaj z Polski” i „Odadajcie nam Wilno i Lwów” „była oklaskiwana przez mieszkańców kamienic na odcinku ulicy Ołbińskiej a Obrońców Pokoju”. Siły milicyjne w liczbie 140 funkcjonariuszy zareagowały z opóźnieniem i niemrawo. Ostatnie grupy manifestantów w okolicach „Dworca-Odra” i przy placu Trzebnickim rozpraszano już po północy.

Również następnego dnia dochodziło do rozruchów. Mniej więcej o godz. 20.00 na Rynku „zgrupowało się około 200 osób”, które wznosiły „antyradzieckie okrzyki”. Po ich rozproszeniu przed godz. 21.00 zebrała się ponownie grupa 250 osób, skandowano antyradzieckie hasła. Po interwencji milicji demonstranci w liczbie 300 uformowali pochód, który o godz. 22.00 udał się pod budynek „więzienia nr 2” przy ulicy Świebodzkiej, gdzie nawoływano do uwolnienia więźniów. Spokój udało się przywrócić po 23.00. Zatrzymano 27 osób, z których większość rychło uwolniono.

W prasie pisano o ekscesach „grup chuligańskich”. W rzeczywistości wśród zatrzymanych we wtorek zaledwie dwie osoby (w tym szesnastolatek) nigdzie nie pracowały...

### **Kontrewolucja w Legnicy 23–24 października 1956 r. „Precz z Ruskami, niech wynoszą się jak najszybciej z Legnicy”**

Postulaty wybiecia się na wolność i suwerenność w rzeczywistości 1956 r. musiały mieć wydźwięk antyradziecki, zwłaszcza na Dolnym Śląsku, gdzie obecność wojsk ZSRR była odczuwalna niemal na co dzień. Nic więc dziwnego, że do najgwałtowniejszych rozruchów doszło w Legnicy, gdzie stacjonowało Dowództwo Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Pierwszym dniem manifestacji był wtorek, 23 października 1956 r. Około godz. 20.00 – jak donosił zastępca Komendanta Miejskiego MO w Legnicy por. Edward Pękalski – „na ul. Wrocławskiej przy kinie »Bałtyk« ob. Denis, znany chuligan na terenie miasta Legnicy, wyszedł na ulicę z flagą państwową i zorganizował wokół siebie grupę młodzieży w ilości około 100 osób. Grupa ta początkowo, idąc ulicą Wrocławską, nie wznosiła wrogich okrzyków, a jedynie krzyczeli: »Niech żyje Tow. Gomułka«. Po 2 godzinach do grupy tej dołączyło się więcej osób, w tym dużo pijanych i grupa ta zwiększyła się do około 1000 osób i wtedy zaczęły się wznosić wrogie okrzyki antyradzieckie. Przed Pomnikiem Wdzięczności na placu Stalina demonstranci krzyczeli: »Precz ze Stalinem, precz z jego nazwą ulicy, precz z Ruskami, niech wynoszą się jak najszybciej z Legnicy« i wiele innych wrogich wypowiedzi”. Atmosfera była tak gorąca, że podjęto nawet próbę obalenia monumentu. Ostatecznie skończyło się na zawieszeniu na nim „flagi narodowej”. Z placu Stalina demonstranci „udali się pod Dom Oficera Radzieckiego, gdzie również wznosili okrzyki: »Precz z ruskimi, zabierajcie się natychmiast i wyjeżdżajcie do swojego kraju«. Spod Domu Oficera przeszli ulicą 1 Maja do ulicy Złotoryjskiej, a następnie ulicą Złotoryjską udali się w kierunku kościoła św. Jana, mieszczącego się przy ul. Chojnowskiej i tam obok kościoła zaczęli śpiewać nabożne pieśni”.

Spod kościoła pochód udał się ulicą Panieńską w kierunku ulicy Wrocławskiej. Gdy demonstranci „przeszli przez most [...], w dalszym ciągu wznosili wrogie okrzyki: »Precz z Rokossowskim, niech żyje Gomułka« itp.”. Miejsce to uznane zostało przez oficerów milicji za najdogodniejszy punkt „do rozpędzenia tłumu”. Próbowano „najpierw przetłumaczyć, że jest późna godzina i polecono

rozejść się”. Ponieważ manifestanci nie mieli zamiaru podporządkować się wezwaniom, co więcej, zaczęli wykrzykiwać: „Czekajcie łobuzy, Gomułka jutro z wami rozprawi się”, funkcjonariusze MO „weszli wewnątrz tłumu, wojsko obstało na zewnątrz i funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa i w stosunku do opornych użyto pałek, a najbardziej wykrzykujących i opornych w ilości 12 osób zatrzymano i przywieziono samochodami do KM MO”.

Demonstranci zostali rozproszeni około godz. 0.40, jednak część w dalszym ciągu wznosiła okrzyki, „w związku z czym zatrzymano jeszcze 7 osób za zakłócanie spokoju nocnego”. Jak zwykle wbrew oficjalnej retoryce zatrzymani „pijacy” i „chuligani” okazali się młodymi robotnikami, zatrudnionymi na kolei, w Hucie Legnica czy podlegnickich PGR-ach. Jedynie dwóch zatrzymanych było osobami „bez stałego zajęcia”. Ostatni rozproszeni po mieście demonstranci krzyczeli: „Jutro o godz. 16 zrobimy podobną demonstrację wraz z dziećmi i z żonami, a wtedy Milicja nic nam nie zrobi”. Uwzględniając te zapowiedzi, a zwłaszcza napiętą sytuację w mieście, Komendant Wojewódzki MO rano 24 października wysłał do Legnicy dodatkowych 30 milicjantów z pobliskich komend powiatowych.

O godz. 16.00, po wysłuchaniu przemówienia radiowego Władysława Gomułki, grupa około 500 osób „samorzutnie zorganizowała wiec na pl. Stalina. W wiecu tym wzięła udział przeważnie młodzież”. Po wiecu uczestnicy rozbili się na dwie grupy. Pierwsza, licząca już około 2000 osób, udała się w kierunku dworca kolejowego. „Do grupy, która była w rejonie dworca kolejowego, przyszedł z apelem rozejścia się I Sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR i Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej. Mimo wezwań demonstranci nie rozeszli się, zajmując nieprzychylną postawę, w wyniku której przez grupę chuliganów pobity został Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej Ob. Ciborowski. Usiłującego go bronić Kierownika Komisariatu MO ppor. Kaczmarka demonstranci starali się rozbroić, w czym zapobiegli pracownicy Urzędu ds. Bezpieczeństwa Publicznego. Pobitego odwieziono do szpitala, gdzie udzielono mu pierwszej pomocy lekarskiej”.

Druga grupa, która w międzyczasie wzrosła do 4000 osób, przeszła „pod Dom Oficera Radzieckiego, wznosząc okrzyki: »Precz z ruskimi, precz z Rokossowskim, precz z komunizmem«. W Domu Oficera Radzieckiego powybijane zostały kamieniami i cegłami szyby”. Następnie grupa przeszła pod budynek, w którym mieściły się siedziby Komendy Powiatowej i Miejskiej MO oraz Powiatowy Urząd ds. Bezpieczeństwa Publicznego. „Po drodze demonstranci powybijali szyby w Poliklinice Radzieckiej, jak też w niektórych mieszkaniach prywatnych zajmowanych przez obywateli radzieckich. Przed gmachem KP MO wznoszono okrzyki: »mordercy, pachołki Stalina, wypuście aresztowanych«, starali się też wtargnąć do budynku. Następnie kamieniami powybijali szyby”. Siły milicyjne i KBW użyły granatów łzawiących oraz pałek i rozpędziły manifestantów. Jednak nie na długo. Na ulicy Złotoryjskiej „grupa ta poczęła się ponownie schodzić, a przechodząc koło budynku Delegatury Rządu PRL, obrzuciła go kamieniami, wybijając okna. Z kolei grupa ta udała się pod dworzec kolejowy. Po drodze obrzucili kamieniami I Komisariat MO, tłukąc szyby w oknie. W rejonie dworca kolejowego zasadnicza grupa demonstrantów została rozproszona przez funkcjonariuszy MO i KBW. Mniejsza grupa rozproszonych demonstrantów obrzucała kamieniami funkcjonariuszy MO z ulicy i okien domów”. Manifestacja została „całkowicie rozproszona” około godz. 20.00.



Odstonięcie tablicy upamiętniającej pomoc wrocławian dla Węgrów w 1956 r. na ścianie akademika Dwudziestolatka 20 XI 2011 r., fot. zbiory Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

W trakcie demonstracji oprócz dwóch samochodów milicyjnych (w tym samochodu, którym przybył do Legnicy zastępca Komendanta Wojewódzkiego MO major Urbański) powybijano też szyby w kilku samochodach radzieckich. Na ulicach miasta zostali pobici oficer i żołnierz radziecki, którzy „na skutek odniesionych obrażeń” znaleźli się w szpitalu. Na ulicach i budynkach pojawiły się pisane ręcznie ulotki „o treści »Precz z komunizmem, precz z rosjanami [sic]«”. Jedna z nich zawisła nawet na murze więzienia radzieckiego przy ul. Lampego.

Do pacyfikacji miasta użyto zarówno pałek, jak i granatów z gazem łzawiącym. Gorliwością wykazali się wysłani do akcji milicjanci. Jak oceniał ich zwierzchnik, „Funkcjonariusze MO wszystkie rozkazy przełożonych wykonywali chętnie i energicznie. Były wypadki, że trzeba było hamować niektórych przed zbytnim używaniem pałek”.

W wewnętrznych sprawozdaniach milicyjnych trudno było sprowadzić rozruchy w Legnicy do rangi ekscesów chuligańskich. Wzięło w nich udział – według szacunków władz – około 6000 osób, a więc ponad 10 proc. ludności miasta, niemal co piąty dorosły mieszkaniec. Także wśród 22 osób zatrzymanych za udział w zamieszkach dominowali ludzie młodzi, robotnicy. Wśród nich była dwójka piętnastolatków, jedna kobieta, a także emigrant polityczny z Grecji.

Antyradzieckie ostrze demonstracji spowodowało zaniepokojenie wśród oficerów radzieckich i ich rodzin. W celu zapewnienia im bezpieczeństwa, a przede wszystkim załagodzenia niezadowolenia dowództwa radzieckiego, 25 października do miasta skierowano kolejnych 120 funkcjonariuszy milicji.

### „Precz z Rokossowskim i komunizmem”

Nastroje antyradzieckie były powszechne. Pogłębiały je zarówno doniesienia i plotki mówiące o ruchach wojsk radzieckich w Polsce, przygotowaniach

do interwencji wojskowej, jak też i wieści dochodzące z Węgier, gdzie doszło do użycia jednostek radzieckich przeciwko domagającym się wolności Węgom. Świadectwem tego były doniesienia milicyjne o ekscesach antyradzieckich na terenie Wrocławia i województwa w trzeciej dekadzie października i pierwszych dniach listopada. Przykładowo na Nowym Dworze „w dniu 24 X 1956 r. w godz. 23–24 grupa nieznanymi osobnikami, będących w stanie nietrzeźwym zerwała tabliczki z napisem ul. Radzieckiej, wznosząc przy tym okrzyki: »Precz z komunizmem« oraz inne okrzyki antyradzieckie”. Na drodze prowadzącej od Muchoboru Wielkiego do Nowego Dworu „grupa chuliganów składająca się z około 12 przemaszerowała, udając się pod Dom Kultury w Nowym Dworze, krzycząc: »Precz z Rokossowskim i komunizmem, precz z przyjaźnią polsko-radziecką« itp.”. W tym samym dniu „w podstawowej szkole w Maślicach Dużych uczniowie kl. VI na lekcji j. rosyjskiego podarli podręczniki, ubliżali nauczycielce i domagali się zniesienia j. rosyjskiego, a wprowadzenia nauki religii”, a „5 chuliganów” usiłowało obrzucić kamieniami budynek przy ul. Maślickiej, „zamieszkały przez rodziny rosyjskie”. Dwa dni później o godz. 3.00 nad ranem grupa chuliganów z bębniem na ul. Dębińskiego 2, gdzie mieszkały rodziny radzieckie. Na klatkę schodową wrzucano świecę dymną, która o mało nie wywołała pożaru.

W szczególnie swój niechęć demonstrowała młodzież. W powiecie strzelińskim w szkole podstawowej w Borowie „młodzież odmówiła nauki języka rosyjskiego oraz potłukła znajdujące się tam portrety Marszałka Rokossowskiego”, w technikum samochodowym w Strzelinie uczniowie również odmówili nauki języka rosyjskiego i zniszczyli portrety Rokossowskiego, a w szkole podstawowej „n/n sprawcy” wynieśli portrety Rokossowskiego z trzech klas szkolnych i ukryli.

Obiektem ataków były także pomniki i symbole wskazujące na zależność i podległość Polski wobec Związku Radzieckiego. 2 listopada 1956 r. w nocy nieznanymi sprawcami zniszczyli gwiazdę z cementu, umieszczoną przed gmachem Gromadzkiej Rady Narodowej w Mysłakowicach; w nocy z 3 na 4 listopada na pomniku wdzięczności dla Armii Radzieckiej w Kłodzku, znajdującym się – co ważne – przy ulicy Stalina ujawniono napis: „Rosjanie precz z Polski”. Najbardziej zuchwali byli tajemniczy sprawcy, którzy w Ziębicach w nocy z 1 na 2 listopada „z pomnika wdzięczności przedstawiającego żołnierza Armii Radzieckiej trzymającego dziecko, skradli to dziecko z brązu”.

Do eskalacji nastrojów antyradzieckich doszło 2 listopada 1956 r., gdy we Wrocławiu odnotowano kilka prób wzniesienia rozruchów, a w Wałbrzychu – jak napisano w specjalnym meldunku milicyjnym – „około godz. 19.00 [...] zebrała się grupa chuliganów około 200 osób”, którzy na ulicy wznosili wrogie okrzyki antyradzieckie i próbowali przejść w kierunku Rynku. „Przeciwko tej grupie wysłano funkcjonariuszy MO, którzy przy pomocy pałek rozproszyli chuliganów”. I znów okazało się, że 7 zatrzymanych nie było przedstawicielami marginesu, ale młodymi robotnikami zatrudnionymi w wałbrzyskich kopalniach.

Atmosfera napięcia i emocji, doniesienia o interwencji radzieckiej na Węgrzech, wybuch wojny na Bliskim Wschodzie przyczyniły się do powstania psychozy wojennej. Odbiciem jej były nie tylko pogłoski o przekroczeniu granicy wschodniej przez oddziały Armii Radzieckiej, starciach między żołnierzami polskimi i radzieckimi, ale przede wszystkim paniczne wykupywanie żywności

– mąki, ryżu, cukru, soli, ale także nafty i proszku do prania. Panika ogarnęła cały Dolny Śląsk, a uległy jej jako pierwsze – potencjalnie najlepiej poinformowane – rodziny milicjantów, pracowników aparatu bezpieczeństwa i wojska, które oblegały specjalne sklepy dla rodzin służb mundurowych.

Strach przed wybuchem wojny nie przejawiał się jedynie wykupywaniem artykułów pierwszej potrzeby. Jedna z wrocławskich komend dzielnicowych MO meldowała 5 listopada, że „wiele osób zamieszkałych we Wrocławiu zaczyna wyjeżdżać do Centralnej Polski lub nosi się z zamiarem wyjechania w obawie przed wybuchem wojny i powrotem Niemców na Ziemie Odzyskane”. Nakładały się na to doniesienia, że niektórzy autochtoni „noszą głowy do góry i żyją wyczekiwaniem trzeciej wojny”.

Nastrojom antyradzieckim i antykomunistycznym, uniesieniom patriotycznym towarzyszyły niekiedy przejawy antysemityzmu, a żądaniom wyjazdu „Ruskich” – gesty i słowa skierowane przeciwko ludności żydowskiej.

### „Ręce precz od Węgier”

Paradoksalnie na wzmocnienie resentymentów antyradzieckich, ale z drugiej strony na powstrzymanie najbardziej żywiołowych form protestu, wpłynęła interwencja, a później stłumienie powstania węgierskiego przez Armię Radziecką. Obawiano się, że scenariusz z Budapesztu może powtórzyć się na ulicach Warszawy i innych miast Polski.

Świadectwem, że – jak zapisano w meldunku Komendy Wojewódzkiej MO – w „centrum zainteresowania społeczeństwa m. Wrocławia” znalazły się wydarzenia na Węgrzech, a ludność „ze szczególną sympatią oraz z głębokim bólem popiera lud Węgierski w swej walce o pełną demokratyzację”, stało się rozwieszenie 28 października 1956 r. na moście Grunwaldzkim „afiszu” z zapewnieniem: „Duszą, sumieniem i nienawiścią jesteśmy z Wami Narodzie Węgierski”. W tym samym dniu „w Rynku na słupie ogłoszeniowym wywieszono ulotkę pisaną tuszem na temat wydarzeń na Węgrzech. Ulotka zawierała następującą treść: »Protestujemy przeciwko zbrojnej ingerencji obcych wojsk na Węgrzech«. Wywieszenie wspomnianej ulotki zgromadziło większą ilość osób, które w sposób głośny solidaryzowały się z treścią ulotki”. Widocznym znakiem solidarności były kwesty zakładowe i uliczne, na których zbierano m.in. środki na pomoc dla Węgrów czy też akcja oddawania krwi dla rannych, na którą spontanicznie odpowiedziały setki mieszkańców Dolnego Śląska.

Widomym wyrazem solidarności polsko-węgierskiej było wywieszenie przez robotników Pafawagu flag polskiej i węgierskiej nad wejściem głównym do zakładu, w miejsce czerwonej gwiazdy. Dwie flagi – polska i węgierska – ozdobiły także serce Wrocławia – wieżę ratusza. Jak zapisano w księdze pamiątkowej Śląskiego Muzeum Historycznego, „Dla uczczenia Rewolucji Węgierskiej pracownicy Muzeum Historycznego w Ratuszu Wrocławskim na zebraniu zwołanym przez kierownika Muzeum mgr Józefa Piątka postanowili jedynomyślnie wywiesić na wieży Ratusza Wrocławskiego flagę narodową Węgier oraz flagę polską. Flagę wywiesili na wieży: ob. Stanisław Mądry – palacz c.o. oraz mgr Janusz Kramarek – asystent Muzeum Śląskiego. Cześć Narodom walczącym o wolność!”.

Ogromnym wstrząsem była informacja o utworzeniu proradzieckiego rządu węgierskiego pod wodzą Janosa Kadara i o brutalnej pacyfikacji całego kraju, zapoczątkowanej nad ranem 4 listopada 1956 r. Jako pierwsi zareagowali studenci

Uniwersytetu Wrocławskiego, Politechniki Wrocławskiej i Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu, którzy 5 listopada wystosowali apel o powstrzymanie się od udziału w zabawach i imprezach rozrywkowych „na znak żałoby i solidarności z ludem węgierskim”. Między godziną 11.00 i 12.00, jak zapisano w specjalnym meldunku Komendy Wojewódzkiej MO, w rejonie Biskupina czterech studentów wypisywało kredą na tramwajach hasła „o treści antyradzieckiej”. Zauważywszy patrol w radiowozie, wsiedli do tramwaju, udali się w stronę placu Uniwersyteckiego i na siedzibie ZMP i Zrzeszenia Studentów napisali kredą: „Ręce precz od Węgier”. W tym samym dniu na wielu wrocławskich gmachach wywieszono węgierskie flagi spowite kirem. Studenci przypięli trójkolorowe znaczki przewiązane krepą. Na jednym z akademików na placu Grunwaldzkim wywieszono transparent: „Precz ze zbrojną interwencją na Węgrzech”. Około 23.30 grupa 200 osób, składająca się niemal wyłącznie z młodzieży, przemarszerowała wokół Rynku, „wznosząc okrzyki antyradzieckie”. W tym samym czasie w okolicach Dworca Świebodzkiego zgromadziło się 40 osób, również wznoszących „okrzyki antyradzieckie”. Oburzenie i złość przybierały czasami formę specyficzną. Według meldunków służb bezpieczeństwa 5 listopada w restauracji „Pilczanka” czterech nietrzeźwych żołnierzy Wojska Polskiego „zmusiło 3 żołnierzy radzieckich do opuszczenia restauracji”.

Kolejne dni nie przyniosły uspokojenia. We wtorek, 6 listopada, w kilku punktach Wrocławia rozklejone zostały ulotki z hasłami: „Ręce precz od Węgier”, „Potępiamy stanowisko Polski w ONZ”. Na Akademii Medycznej wywieszono zostały plakaty, mówiące o podjęciu trzydniowej żałoby „w związku z wypadkami na Węgrzech”. Mimo wysiłków milicjantów, którzy pracownicy zrywali ręcznie wypisywane plakaty i zmywali napisane kredą hasła, wciąż pojawiały się nowe. 8 listopada 1956 r. na budynku przy ul. Cybulskiego 22 ujawniono duży napis wykonany kredą: „ZSRR ręce precz od Węgier”, przy placu Grunwaldzkim 106 – „Ręce precz od Węgrów”, na budynku przy ul. Skłodowskiej przylepiono afisz: „Precz z haniebną agresją Związku Radzieckiego na Węgrzech”, a na ulicy Stalina 81 – plakat: „Mordercy Węgrów do domu, Polska dla Polaków”. Na ścianach głównego gmachu Uniwersytetu Wrocławskiego i na budynku Zarządu Dzielnicowego ZMP przy ul. Szewskiej pojawiły się hasła: „Ręce precz od Węgrów”, „Wolność Węgrom” i inne. Komitet Rewolucyjny Politechniki Wrocławskiej 8 listopada 1956 r. rozkolportował po Wrocławiu kilka tysięcy ulotek z apelem, w którym nawoływał do zaniechania jakichkolwiek wieców i manifestacji w obawie przed realną groźbą interwencji radzieckiej. Wzywano w nim także wszystkich mieszkańców Dolnego Śląska do przerwania na 5 minut pracy w dniu 8 listopada o godzinie 12.00 „w celu uczczenia poległych na Węgrzech bojowników o wolność i demokrację”. W odezwie pisano m.in.: „Uważamy, że cała młodzież Polski, która obok zarliwego patriotyzmu czuje głęboką sympatię i współczucie dla narodu węgierskiego, powinna otwarcie powiedzieć, co myśli o haniebnej interwencji wojsk radzieckich na Węgrzech”. Równie spektakularna i głośna była akcja, którą wrocławscy studenci przeprowadzili następnego dnia, tuż po zmierzchu. Około godz. 17.30 z pomocą szablonu z dykty i wiadra z farbą olejną na ulicy Stalina sporządzili napisy: „ulica Bohaterów Węgierskich”. Nowa nazwa widniała m.in. na skrzyżowaniu z ulicą Nowowiejską i Kluczborską.

Młodzież akademicka próbowała wpłynąć na wyegzekwowanie ogłoszonej żałoby. W sobotę, 10 listopada około godz. 23.00 grupa studentów udała się do kilku lokali w centrum Wrocławia – „Polonii”, „Klubowej”, „Monopolu”

Katarzyna Rembacka

## Pełnomocnicy okręgowi na Ziemiach Zachodnich i Północnych

Przemysłana polityka kadrowa  
czy dzieło przypadku?

**14 marca 1945 roku, a więc w trakcie przeprowadzanej z sukcesem przez Armię Czerwoną operacji wiślańsko-odrzańskiej, uzurpatorski Rząd Tymczasowy postanowił „tereny zachodnie, nowo wyzwolane, podzielić na cztery Okręgi administracyjne i na każdy wyznaczyć pełnomocnika”.**

i „Ratuszowej”, gdzie odbywały się dancingi. Przemawiali w nich, „nawołując do zaprzestania tańca, by uczcić cierpiący naród węgierski, jednak goście w restauracjach – jak skonstatowano w milicyjnym doniesieniu – bawili się dalej”.

Dramatyczne doniesienia z Węgier dawały asumpt do powstawania najbardziej dziwnych i mrożących krew w żyłach pogłosek, m.in. o tym, jakoby wojskami radzieckimi na Węgrzech miał dowodzić Konstanty Rokossowski, że tenże Rokossowski lub – w innej wersji – przedstawiciel konserwatywnego skrzydła w partii Zenon Nowak miał strzelać do Gomułki oraz Cyrankiewicza i ranić ich oraz że wreszcie – na wzór rządu Kadara – w Moskwie formował się nowy rząd Polski z Franciszkiem Mazurem i Wandą Wasilewską na czele.

Być może pod wpływem doniesień z Węgier wrogość wobec Armii Radzieckiej zaczęła przyjmować skrajne formy. W „Lubiniu legnickim” nieznanymi sprawcami dwukrotnie w dniu 10 i 13 listopada oddał strzały (niecelne) do oficera i dwóch żołnierzy radzieckich... Jednocześnie w ulotkach rozrzuconych 10 listopada 1956 r. na ulicy Wita Stwosza napisano z jednej strony: „Bolesna tragedia Węgier – ostrzeżeniem dla Polski. Precz z agresją rosyjską”, z drugiej: „Chwała Węgrom – wolność jest nieśmiertelna”.

Październik i listopad 1956 r. na Dolnym Śląsku były, podobnie jak w innych regionach Polski, okresem wielkiej aktywności politycznej i społecznej, przede wszystkim ludzi młodych – nie tylko studentów, uczniów, ale i robotników. Mocno wybrzmiały żądania wolności i niepodległości, bardzo często przyjmując formę protestu przeciwko upokarzającej zależności od wschodniego sąsiada, którego obecność w postaci garnizonów Armii Radzieckiej, radzieckich żołnierzy i oficerów odczuwana była na każdym kroku. Ten masowy sprzeciw, to wspólne doświadczenie było czynnikiem spajającym tak zróżnicowaną społeczność Dolnego Śląska, na którym każdy wprawdzie pochodził skądś, ale teraz – jak mieszkańcy Legnicy – wystąpił jako pełnoprawny właściciel wobec panoszącego się dozorcę.

Okręg I obejmował Śląsk Opolski i zarządzać nim miał Aleksander Zawadzki, Okręg II stanowił Dolny Śląsk, a jego pełnomocnikiem został dotychczasowy wicewojewoda kielecki Stanisław Piaskowski. Na terenie Pomorza Zachodniego wyznaczono Okręg III, którym administrować miał Aleksander Kaczocha-Józefski, zaś Prusami Wschodnimi (Okręg IV) – Jerzy Sztachelski.

Szybko się okazało, że nominacje te były chwilowe, ponieważ dwóch pełnomocników zaledwie po kilku tygodniach przestało pełnić tę funkcję. 30 marca Sztachelskiego, któremu powierzono ministerstwo aprowizacji i handlu, zastąpił Jakub Prawin (operował na terenie Warmii i Mazur). Z kolei 11 kwietnia Kaczocha-Józefski objął tekę wiceministra administracji publicznej. Na wniosek ministra administracji publicznej, Edwarda Ochaba, na wakujące stanowisko rząd postanowił „mianować Ob. L. Borkowicza na Okręg Pomorze Zachodnie, niezależnie od jego pracy Pełnomocnika przy 1. Froncie Białoruskim”. W ten sposób wyłoniony został zespół zarządzający, przynajmniej do końca 1945 r., nowymi rubieżami kraju, których „powrót do macierzy” był nośnym hasłem propagandowym, wykorzystywanym przez komunistów do legitymizowania władzy. Wydawać by się zatem mogło, że obsadzanie kluczowych stanowisk na tym obszarze powinno być oparte na przemysłanej polityce kadrowej. Ale czy tak było?

Przyjrzyjmy się partyjnym korzeniom nominatów. Spośród czterech wskazanych osób trzy legitymowały się przynależnością do komunistycznych organizacji w okresie przedwojennym – byli to Leonard Borkowicz, Jakub Prawin oraz Aleksander Zawadzki. Wszyscy mogli wykazać w swoim życiorysie nie tylko przynależność do Komunistycznej Partii Polski, której byli partyjnymi funkcjonariuszami, ale również wielokrotne pobyty w więzieniach. Borkowicz i Prawina łączyła ponadto Bereza Kartuska. Z kolei Stanisław Piaskowski jeszcze w latach 20. XX w. związał się z Polską Partią Socjalistyczną, z której w grudniu 1936 r. miał zostać usunięty za poglądy „kryptokomunistyczne”. Jednak pomimo radykalnie lewicowych sympatii trudno go uznać za komunistycznego działacza.



Wysiedlenia Polaków z Kresów Wschodnich, 1946 r. Fot. N.N. / zbiory Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

Swoją wagę mają także losy pełnomocników podczas wojny, na co wpływ miało miejsce ich ówczesnego pobytu. Na terenie okupowanego przez Niemców kraju pozostał Piaskowski, który zaangażował się w konspiracyjną działalność. Socjalista działał najpierw w podlegającym przedwojennym władzom polskim Związku Walki Zbrojnej, następnie w Armii Krajowej. Natomiast komuniści znaleźli się na terenie Związku Radzieckiego i to tam, po początkowym okresie stagnacji, ich polityczne kariery nabrały przyspieszenia. Wszyscy skierowani zostali do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, gdzie głośnym echem odbił się wśród żołnierzy awans „Aleksandra Zawadzkiego z kaprała na stopień majora, a następnie w bardzo szybkim czasie na generała”. Równie zaskakujące mogło być powierzenie mu przewodnictwa w Centralnym Biurze Komunistów Polski, co najprawdopodobniej łączyć należy z jakąś formą agenturalnej współpracy z Sowietami. Borkowicz i Prawin mieli także na swoim koncie służbę

w Armii Czerwonej, w której byli „politrukami” i w której uzyskali oficerskie awanse. Znaleźli się również w zespole czołowego aktywu partyjnego, włączanego w system pracy CBKP. „Członkowie zespołu spełniali rolę mężów zaufania Biura, będąc bezpośrednim ogniwem pomiędzy Biurem a komunistami w jednostkach”. Rok 1944 wyróżniał się w ich życiu dużą dynamiką i coraz to nowymi funkcjami i zadaniami – obaj zresztą w tym czasie nabywali doświadczenia w pracy administracyjnej na szczeblu terenowym (Borkowicz) i centralnym (Prawin). Obaj wciąż nosili mundury, uzyskując coraz wyższe stopnie wojskowe.

Ale wzmocnieniu ulegały nie tylko pojedyncze kariery polskich komunistów. Przynajmniej od klęski Niemców pod Stalingradem było wiadomo, że „wyzwolenie przyjdzie ze Wschodu, że będzie wyzwoleniem przez Związek Sowiecki i jego armię”. Świadomość ta prowadziła do tworzenia nowych programów politycznych oraz „redefinicji dotychczasowych ocen i postaw”. Piaskowski niemal natychmiast po wyzwoleniu Polski centralnej spod niemieckiej okupacji, zaczął sprawować funkcję w nowym aparacie władzy, nie rezygnując przy tym z przynależności do Polskiej Partii Socjalistycznej, a dokładnie jej „lubelskiej” części.

Życiorysy pełnomocników różniły się za to w innych, z oczywistych względów, niezależnych od nich obszarach, które wyznaczała metryka czy pochodzenie. Nie zawsze mieli również wpływ na to, jakie osiągnęli wykształcenie, co wiązało się ze statusem majątkowym ich rodzin. Najstarszy był Aleksander Zawadzki, który urodził się w 1899 r. w Będzinie, w polskiej rodzinie robotniczej i ukończył zaledwie kilka klas szkoły powszechnej. Oprócz zawodowej pracy partyjnej trudnił się górnictwem. Z kolei Stanisław Piaskowski urodził się w 1901 r. niedaleko Garwolina. Podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, kończąc je, po różnych perturbacjach, na Uniwersytecie Warszawskim. Ojciec Piaskowskiego, Antoni, był rejentem w Radomiu i to tam Stanisław pełnił funkcję naczelnika wydziału w Zarządzie Miejskim. I również Piaskowski (ur. 1901 r.), jak i Borkowicz (ur. 1912 r.) byli pochodzenia żydowskiego. Różnił ich za to mocno poziom uzyskanego wykształcenia – Prawin studiował w Wiedniu, uzyskując tytuł doktora nauk ekonomicznych, Borkowicz zaś, wyrzucany za komunistyczną działalność z kolejnych szkół, nie zdołał ukończyć gimnazjum. Wypełniając kolejne ankiety partyjne w rubryce „pochodzenie społeczne”, obaj wpisywali „inteligencja pracująca”.

Co zatem, poza ideologicznymi wyborami, predestynowało powyższą czwórkę do powierzenia im arcytrudnego zadania, jakim było „przygotowanie terenu na przyjęcie osadnictwa polskiego”? Za Piaskowskim przemawiało z pewnością jego doświadczenie w zarządzaniu administracją terenową. Praktykę zdobywał w województwie kieleckim, gdzie tuż po wyzwoleniu tego obszaru spod okupacji niemieckiej pełnił funkcję zastępcy pełnomocnika rządu (jego przełożonym był wówczas Edward Ochab). Również Borkowicz mógł legitymować się aktywnością administracyjną – przez kilka miesięcy zarządzał bowiem Białostoczną, choć w ostatecznym rozrachunku inne czynniki doprowadziły do jego nominacji. Najciekawsza wydaje się jednak kandydatura Aleksandra Zawadzkiego, człowieka, który z pewnością mógł uchodzić wówczas za jedną z najważniejszych figur politycznych. Jak wskazuje jego biograf, Janusz Mokrosz, skierowanie dotychczasowego zastępcy naczelnego dowódcy Wojska Polskiego ds. polityczno-wychowawczych do „dyspozycji Rządu Tymczasowego” wynikało z chęci odseparowania go „od najwyższych kręgów władzy”. Zarówno Władysław Gomułka, jak i ludzie skupieni wokół niego, żywili wobec Zawadzkiego



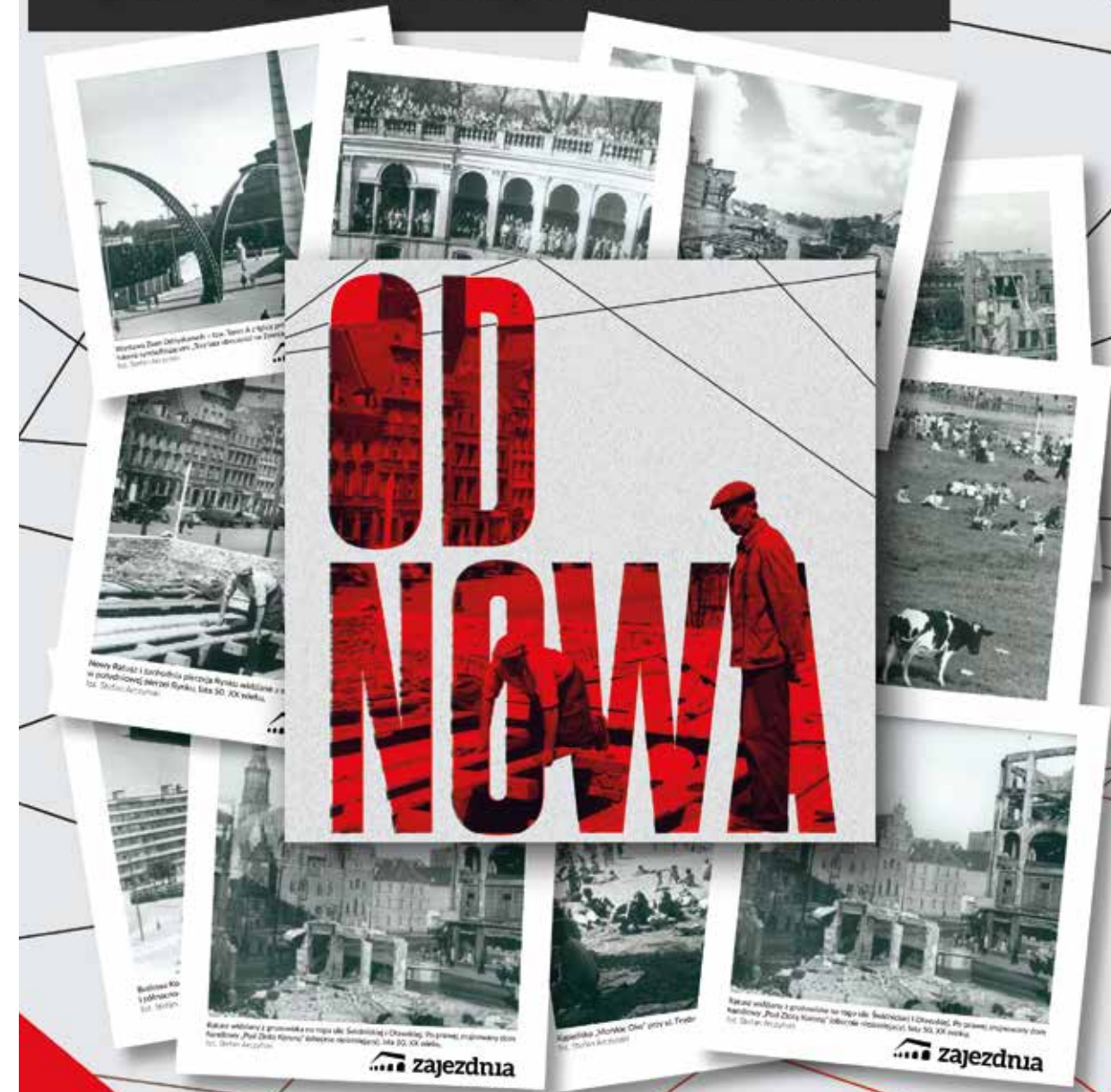
Archiwalne zdjęcia **Stefana Arczyńskiego** ukazujące jak od nowa odżywał Wrocław

## Box **OD NOWA** to 12 unikatowych zdjęć prezentujących powojenne oblicze miasta

niechęć. Równocześnie jednak władze centralne dały mu praktycznie nieograniczoną swobodę podejmowania decyzji, co wynikało zarówno z jego pozycji, jak i kluczowego znaczenia Śląska dla powojennej odbudowy Polski. Nie bez znaczenia był fakt, że Zawadzki przed wojną pracował jako górnik i mieszkał w tym regionie, co można było wykorzystać propagandowo.

A jak było z Borkowiczem i Prawinem, których przecież nie szykowano na okręgowych pełnomocników? Ich losy ponownie się złączyły 26 lutego 1945 r., kiedy to zapadła decyzja Rządu Tymczasowego o ustanowieniu składu pełnomocników mających działać przy radzieckich frontach. Do 1. Frontu Ukraińskiego przydzielono Eugeniusza Szyra, zaś do trzech frontów białoruskich przypisano kolejno Leonarda Borkowicza, Juliana Kole (szybko wymienionego na Antoniego Alstera) oraz Jakuba Prawina. Pełniąc swoje przyfrontowe zadania, zarówno Borkowicz, jak i Prawin operowali na terenach, które miały zostać objęte polską administracją i to w czasie kadrowych przetrasowań dokonywanych przez Rząd Tymczasowy. O ich relatywnie najlepszym przygotowaniu do zarządzania Pomorzem Zachodnim i Prusami Wschodnimi świadczyć mogła ich orientacja na temat stanu infrastruktury i gospodarki w regionach. Uzyskiwali ją m.in. podczas terenowych rekonesansów, a poczynione obserwacje zamieszczali w raportach przesyłanych władzom centralnym. Borkowicz wykazał się nie tylko spostrzegawczością, ale i troską o dalsze losy Pomorza Zachodniego, zamieszczając w sprawozdaniu obawy dotyczące stanu rządów sowieckich komendantów wojskowych i braku jakichkolwiek działań ze strony polskiej w celu zabezpieczenia tych ziem. A że raport składał w czasie, gdy Kaczocha-Józefski przerwał swoją zachodniopomorską misję, decydując się na powrót do stolicy i objęcie teki wiceministra administracji publicznej, stał się chyba najlepszym, a pewnie i jedynym, kandydatem do objęcia okręgu.

Wydaje się zatem, że na nominacje Borkowicza i Prawina większy wpływ miała ich swoista dyspozycyjność i doświadczenie wynikające z realizacji przyfrontowych zadań, aniżeli przemyślana strategia władz centralnych. Po prostu byli pod ręką. Tym samym trudna do obrony może być teza o świadomym kierowaniu do nowych okręgów jedynie byłych kapepowców, co miałyby świadczyć o szczególnym zainteresowaniu komunistów – w wymiarze kadrowym – „Ziemiemi Odzyskanymi”. Ani obsadzanie Dolnego Śląska, gdzie przez kilka lat prym wiodli socjaliści, ani Pomorza Zachodniego, gdzie wpływ na obsadę personalną grup operacyjnych miał ludowiec Kaczocha-Józefski, tego nie dowodzą. Polska Partia Robotnicza w owym czasie bardziej skupiała się na rozbudowie aparatu partyjnego i aparatu bezpieczeństwa, aniżeli kadrowym monopolizowaniu administracji terenowej, „chwilowo” bowiem nie miała takich możliwości. Dlatego czerpała pełnymi garściami z rezerwuaru ludzi, których łączyła polska myśl zachodnia, dlatego wykorzystywała przedwojennych urzędników, dając im złudne poczucie równoprawności. Do czasu.



Do nabycia w **Centrum Historii Zajeźdźnia** oraz na stronie [sklep.zajeźdźnia.org](http://sklep.zajeźdźnia.org)



# WYSTAWA WROCŁAW PAMIĘTA STAN WOJENNY WE WROCŁAWIU

10 XI 2021 – 15 I 2022



[WWW.ZAJEZDZIA.ORG](http://WWW.ZAJEZDZIA.ORG)

40



centrum  
historii  
zajezdnia



Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego

Wrocław  
miasto spotkań